MARJA RACZYŃSKA



TANCERKA Z XOÏS

TANCERKA Z XOIS

MARYA RACZYŃSKA

TANCERKA Z XOIS

KRAKÓW — NAKŁAD G. GEBETHNERA I SP.
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
MCMVII

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

ODWIECZNA BAJKA

(Zamiast wstępu)

Gdy wszechwładny Waruna stworzył kobietę, zdziwił się i zatrwożył w sobie, albowiem nie marzył jej tak piękną — —

Ona zaś podnosząc ku niemu olśnione oczy, spytała:

— Ktoś jest?...

— Jam jest: „Wszystko“ — odpowiedział tajemniczy Bóg — i wszystko jest w Mocy mojej. Jam jest parą wody, światłem księżyca i słońca, dźwiękiem powietrza, męską energią człowieka, słodką wonią ziemi, blaskiem płomienia, wiekuistem nasieniem Wszechprzyrody... Jestem wiecznością samą; jestem paleniskiem, którego płomień zwraca się na wszystkie strony; jestem śmiercią pochłaniającą wszystko; we mnie kiełkuje źdźbło tego, co nie poczęło się jeszcze... Mocą mej woli stworzyłem świat — i Ciebie, o piękna, wywiodłem z nicości...

— Jeżeli stworzyłeś mnie o Panie — rzekła kobieta — wskaż mi co mam czynić.

— Zaprawdę — powiedział Waruna — nie wiem jakiby trud zwalić na twoje barki, jesteś bowiem tak

piękną i słabą. Cóż bo za ciężar mogą podjąć twe ramiona i cudne, wązkie dłonie o palcach długich i wątłych. Głowa twoja jest dziwnie kształtną i małą, nie wiem czy wielki płomień myśli mógłby zapłonąć w tej przecudnej czarze. Zaprawdę drobne twe i delikatne stopy powinny chadzać wyrąbanemi już ścieżkami; nie w twojej mocy będzie przedzierać się przez haszcze dziewiczych lasów i w zwartych skałach bić studnie. Chciałbym Ci rzec, jak rzekłem wonnym kwiatom ziemi, kwitnij i wydaj słodkie owoce — —

A widząc, iż kobieta nie odchodzi i że stoi przed nim piękna, czysta i zadumana, rzekł:

— Czegóż żądasz jeszcze, o córko moja?

— Czyż nie stworzyłeś mnie człowiekiem, o Panie — spytała kobieta.

— Zaprawdę chciałem cię stworzyć człowiekiem i dać za towarzysza mężczyźnie — rzekł Bóg — lecz oto dzieło rąk moich niezupełnie odpowiedziało myśli, mimo mej woli uczyniłem cię słabszą i piękniejszą, o wiele piękniejszą niż chciałem...

— Panie — rzekła ze smutkiem kobieta — mamże więc być jeno kwiatem?

— Bądź kwiatem życia, o piękna — rzekł dobrotliwie Bóg — i nie sądź, iż jest to tak mało. Ten, który podejmie trud, odpocznie na twem łonie. Ty będziesz szczęściem i jasnością chmurnych dni — nie pragnij niczego ponad to, albowiem dano Ci wiele... Oto tam, pod drzewem figowem, śpi mężczyzna, idź ku niemu i obudź go pocałunkiem.

Posłuszna woli Bożej kobieta odeszła. Wolno

i jakby ociągając się, szła ku leżącemu w cieniu drzew mężczyźnie; dziecięce jej serce objął żal, a im bardziej zbliżała się ku temu, który spał, wzrastał w niej lęk. Wreszcie zatrzymała się u pnia figowca, płacząc — —

Książę Ciemności, który krążył w tej stronie, kędy spał mężczyzna, zbliżył się do kobiety. Nienawidził on Waruny i wiódł z nim walkę, która nie miała początku i końca mieć nie będzie, obydwaj bowiem byli i są, potężni i wieczni. Widział on groźne rysy na wielkim, krągłym globie, który Waruna rzucił w przestrzeń i zdjęty ogromną litością nad tymi, którzy się mieli narodzić dla Cierpienia i Śmierci, zapragnął zepsuć dzieło stworzenia. Przeto, przyjąwszy na się postać uskrzydlonego młodzieńca, przysunął się do kobiety i wskazując jej śpiącego mężczyznę, przemówił:

— Nie idź ku niemu, jeśli chcesz być wolną i szczęśliwą.

Kobieta pomyślała przez chwilę, potem odpowiedziała:

— Pan, który mnie stworzył, nie mówił, iż będę szczęśliwą; kazał mi iść i dać szczęście.

— Usta twe nie szczęście niosą, lecz śmierć — rzekł szatan.

Kobieta zadrżała.

— Nie budź go — szeptał dalej szatan — będziesz cierpiała przez niego...

— Będę cierpiała... wszak cierpi tylko człowiek?... Przez cierpienie stanę się więc człowiekiem! — myślała kobieta.

— Odejdź, nie lękam się już śmierci — rzekła

i odsunąwszy szatana, podeszła śmiało ku mężczyźnie, by ledz u jego boku.

Lecz kiedy wieczorem zasypiała znużona w jego ramionach, ona, która poczęła już dziecię, serce jej objęła tęsknota i żal. Poczuła na barkach swych ciężar nad siły, gniotący ciężar życia i oczom jej duszy zjawiła się piękna, smutna postać szatana, otulona w cień płowych, ogromnych skrzydeł i jego zimne, mądre oczy i bolesny uśmiech zwartych warg, gdy odchodził od niej, odepchnięty.

Biczowana pragnieniem, zasnęła z obrazem jego na oczach — i tak miało być po koniec jej dni, po koniec dni świata.

LILIE PRZY DOLINIE

(Fragment ze staro-indyjskiej legendy)

Józefowi Rufferowi.

A gdy ukończył Kryszna lat piętnaście, opuściła go matka jego, dziewicza Dewanaki i uszła nocą w ciemne wąwozy doliny Meru, by umrzeć samotnie w kraju nieznanym.

— O „synu mój! — mówiła, schodząc w niziny nieurodzajne, spalone słońcem — synu mój! — Oto rozwiązuję nogi twoje spętane matczyną miłością i rękom twoim daję twórczą siłę tęsknoty. O dziecię serca mego! o dziecię krwi mojej! Oto odchodzę.

Depcę nogami serce moje o synu — depcę nogami serce moje, przez miłość dla ciebie, przez miłość czynów twoich, które się mają wypełnić.

Albowiem porodziłam Światło.

Porodziłam cię bez boleści, o boleści moja! o szczęście moje!

Umiłowany mój! — odchodzę.

Zamknij oczy moje o boski Mahadewo i serce moje zamknij, a na ustach moich połóż świętą pieczęć milczenia.

A ty, który tam śpisz cicho na podścielisku mchów i zeschłych liści, piękny i czysty jako pro-

mienny kwiat lotosu — synu mój! o ustach dziewicy i sercu gołębia, zapomnij matki twojej i szczęsnych dni naszych, gdy zbudzisz się do Czynu".

. . . .

Przez wiele i wiele dni, przez nieskończony szereg ciężkich od rozpaczy nocy szukał Kryszna daremno matki swej Dewanaki. Wpół oszalały z trwogi i tęsknoty przebiegał on skaliste wyżyny góry Meru i wonne doliny i rozdoły, które opasywały ją zielonym wieńcem. Nogi jego opuchły i ociekły krwią, twarz stała się zeschłą i czarną, a piękne niegdyś i łagodne oczy płonęły jak oczy dzikiej pantery.

Przez dziewięć lat szukał Kryszna matki swej, albowiem umiłował był ponad wszystko tę kobietę tak cichą, słodką i piękną. Wzdłuż i wszerz przebiegał on Indye, rosnąc w siły ducha i ciała — przebiegał bezludne, spalone żarem słonecznym pustynie — ogromne, nieobjęte, wilgotne lasy rojące się od wężów jadowitych i dzikiego zwierza — miasta ludne i bogate i ciche pustelnie świętych „riszi", kryjące się u podnóża gór nad strumieniami wody zimnej i czystej. Szukał jej w splecionych z lianów i liści palmowych schroniskach pokutnic i w czarujących pałacach Mandury; cierpiał głód i niedostatek i chadzał okryty klejnotami, depcąc kwiaty wyhodowane w ogrodach Ayodhyi — albowiem zmienne są koleje losu i wóz życia nie zawsze toczy się kamienistą drogą.

Tak tedy wzrastał Kryszna w rozum i siły i stał się pięknym, jako młody bóg Naryana, wstępujący w tryumfie na stopnie światowładnego tronu.

A serce jego pozostało czyste, jako serce dzieciątka z gór i tęskne, jako serce jagnięcia odłączonego od matki — i podczas kiedy ramiona jego dokonywały czynów bohaterskich, a usta grzmiały prawdą w obronie biednych i uciśnionych — serce jego płakało tęsknotą, nie mogąc zrozumieć, dlaczego opuściła go ta, którą umiłował.

Aż dnia jednego, w jednej z swych niezliczonych wędrówek, stanął nad brzegami świętej rzeki Gangesu, nie odnalazłszy tej, której szukał — i gdy umocniwszy serce swoje modlitwą zanurzył się po trzykroć w oczyszczających falach, wstąpił w niego duch Mahadewy, światła świata, i dał mu zrozumieć, dlaczego opuściła go matka jego dziewicza Dewanaki.

I oto wyszedłszy z wody, pozostawił Kryszna nad brzegiem rzeki wszystko co posiadał — drogie szaty swe i sandały nabijane złotem, pas i miecz rycerski — i tak, jak stał, nagi i bosy, żebrząc po drodze o lichą, codzienną strawę, udał się z powrotem na górę Meru, aby wśród ubogich pasterzy i anachoretów, którzy patrzyli na dni jego dzieciństwa, spędzić lat siedm na pokucie i rozmyślaniu.

I przyszedł dzień, w którym Kryszna, modląc się, uczuł w sobie potężny głos Mahadewy, wołający o Czyn. Zeszedł tedy z góry Meru i dzierżąc pięciostruną winę w ręku, zstąpił w zaludnione gęsto doliny. Nagie ciało jego wychudzone było przez ustawiczne posty, a zbiedzone oblicze promieniało światłem bożem.

Szedł tedy Kryszna między ludzi, śpiewając dzi-

wną pieśń o Miłości, ogarniającej cały świat — a gdy zbliżyła się noc, on, który nie miał dachu nad głową, usiadł pod wielkim cedrem przy drodze — i śpiewał. Wracający z pól wieśniacy zatrzymywali się przy nim, a wstąpiwszy w dom swój, mówili między sobą o pustelniku, śpiewającym pięknie niedorzeczne pieśni. „Czyż mogę miłować nieprzyjacioły moje — mówił Manu — czyż mogę miłować Aryę, który uprowadził trzody moje z pastwiska i odgrażał się, że mnie zabije". — „Niechaj przekleństwo spadnie na głowę jego i głowy dzieci jego — wtórował Bahra, młodszy brat Manu — i niechaj wrzód toczy ciało potomków jego aż do dziesiątego pokolenia".

Słysząc to żony i córki rolników, wiedzione ciekawością, wyślizgnęły się nocą z domów swoich i kryjąc się jedna przed drugą, znalazły się w obliczu Kryszny.

Przysiadły prawie u stóp jego, otulone w mrok nocy i słuchały w milczeniu.

A Kryszna śpiewał:

„Podaj mi rękę, o bracie mój trędowaty — podaj mi rękę, nie lękaj się. — Omyję rany twoje łzami i usta twe, spieczone od gorączki, zwilżę wodą — albowiem kocham Cię, bracie mój trędowaty, kocham wrzody twoje, ropą ciekące i serce twoje kocham — serce smutne aż do śmierci...

Pochyl ku mnie głowę twą, o siostro-sarno — nie uciekaj ode mnie, nie lękaj się. — Wyrwę rękami strzałę, tkwiącą w twej lędźwi, strzałę bolesną — i omyję twą ranę wodą — albowiem miłuję Cię, o sio-

stro-sarno, tak piękna i tak chybka, jako wiew wichru na szczytach dalekich gór...

— Nie kryj się przede mną o drobna liszko, nie drętwiej z przerażenia, — ręce moje nie dotkną cię i nie rozdepce noga, albowiem kocham cię, o najnędzniejsza, — kocham cię tak, jak gdybyś była piękną sarną lub biednem sercem człowieczem — a imię moje jest „Miłość“, o siostro“.

I zasłuchana w słowa pieśni nierządna Ayhay, która się tu ukradkiem za innemi kobietami przywlokła, Ayhay, która młode swe ciało oddawała w zaroślach przydrożnych kupcom, pasterzom i włóczęgom, upadła nagle twarzą w proch ziemi i wołała, płacząc:

— Któż, jesteś ty! który tak mówisz o miłości! Któż jesteś!!

Ocknął się Kryszna, a ujrzawszy kobiety, przestał śpiewać i rzekł im:

— Wróćcie do zagród waszych, o siostry — nie przystoi wybiegać wam z domów nocą na drogi, uczęszczane przez kupców i żołnierzy, — małżonkowie wasi i synowie niepokoją się o was, — wracajcie...

Wtedy wpadły kobiety w smutek głęboki — „polały się łzy zabarwione podmalowaniem oczu na łona, błyszczące szafranem“ — i rzekła stara Dyamuda, żona Nandy.

— Przecz odejść nam każesz, o panie, ty, który miłujesz liszkę pełzającą wśród traw, a dla najnędzniejszego stworzenia masz jeno słowa litości, — przecz każesz nam oderwać usta od źródła, usta umierające

z pragnienia... Czyż nie jesteśmy jako juczne bydlęta obciążone nad miarę — —

A biała Sziwa milcząc, obnażyła plecy i ramiona sine i krwią nabiegłe od razów mężowskiego kija.

— O przyjacielu smutnych — łkała wiotka Arga — połóż rękę twą, podobną do kwiatu lotosu na piersiach naszych płonących od gorączki, — o ty, któremu na imię Litość, patrz, jak jesteśmy nieszczęśliwe...

— Pozwól nam pozostać, o panie, — pozwól nam pozostać jeszcze — błagały kobiety — oto umiłowałyśmy cię aż do śmierci, Boże, o oczach lotosu. Bądź litościwy dla nas, nie zawiedź nadziei, które pokładamy w tobie. Czyż nie jesteś światłem i radością życia! ty, który miłujesz i przebaczasz. Czyż nie jesteś kochankiem naszym i ojcem! Czyż nie za tobą to tęskniły dusze nasze... O, nie odpychaj nas!... O, nie każ nam umierać...

I wyciągnęły się ku Krysznie ramiona smagłe i cudne — i pochyliły się ku niemu łona drżące od łkań i zaszeptały usta rozpłakane:

— Otośmy niewolnice twoje, o panie...

Wówczas zdjęty litością Kryszna pozwolił zostać przy sobie kobietom, uczył je i pocieszał. A gdy poczęło świtać na wschodzie, rzekł im:

— Odejdźcie teraz, o siostry moje, bezzwłocznie powróćcie do zagród waszych. Cielęta i dzieci wydają już krzyki żałosne, napójcie je i uciszcie... pełńcie obowiązki wasze przez miłość dla mnie, przez miłość słów moich. O każdej godzinie dnia i nocy

będę z wami, w myślach waszych i sercach waszych zamieszkam. Brzemię wasze jest ciężkie, o siostry moje, o umiłowane, — nieście je w pokorze przez pamięć tej nocy szczęścia...

I podniosły się posłusznie kobiety z miejsc swoich i odeszły w milczeniu, cicho, jak cienie, kryjąc oblicza w fałdach zasłon i płaszczów.

A wtedy przystąpiły do Kryszny dwie córki patryarchy Nandy, które przybieżały tu za matką i kryły się w cieniu kwitnących krzewów magnolii i rzekły mu:

— Oto porzucamy ojca i matkę, braci i siostry o panie nasz, aby pozostać z tobą na resztę dni.

Zatrwożył się Kryszna i powiedział:

— Czy wiecie córki moje co czynicie. Oto wezgłowiem mojem jest kamień przydrożny, a pożywieniem owoc leśnej jabłoni i woda. Ramiona wasze spierzchną od słonecznego żaru a nogi opuchną od wędrówki przez lasy i pustynie. Czyż chcecie się wyrzec rozkoszy dla miłości? i szczęścia dla cierpienia? Czyż chcecie się wyrzec kochanka ziemskiego dla człowieka, który pogardził ciałem. Wypaliłem w sobie żądze ziemskie o siostry — i słowa moje stały się jako kwiaty na szczytach śnieżystych gór. Czyż naprawdę chcecie iść za mną, wy, które jesteście tak młode i piękne?

A smukła Sarasvati i Nichdali o oczach gazelli, z słodkim uśmiechem pochyliły głowy na znak potwierdzenia.

. . . .

I szedł Kryszna przez świat ucząc, pocieszając, lecząc — a śladami jego stóp szły Sarasvati i Nichdali jako białe gołębice dobrej wieści.

I wlokła się za nimi i Ayhay, ukrywając się w cieniu krzewów i drzew przydrożnych, albowiem nie śmiała stanąć przed nimi. A gdy ujrzała ją dumna Sarasvati wychowana w pogardzie dla Ayhay, rzekła:

— Czemu kryjesz się przed nami o siostro moja. Czyż nie wiesz iż wszystko jest przebaczone tym, które umiłowały cierpienie.

Usłyszawszy słowa te, Kryszna zapłakał ze szczęścia i kładąc rękę na cudnej głowie Sarasvati, rzekł:

— O córko moja — jakże piękną jest dusza twoja o dziecię.

A Sarasvati odrzekła z pokorą:

— Twoją jest dusza moja o Panie — twoją jest aż do śmierci.

I szli tak obok siebie święty-mędrzec, dziewice i nierządnica — a zastęp uczniów Kryszny rósł z dnia na dzień, aż stał się jako chmura niosąca ożywczą rosę dżdżu ziemi od występków spalonej. I szedł tak Kryszna przez świat, mówiąc o nieśmiertelności duszy i jej kolejnych wędrówkach po wyjściu z ciała, głosił miłość bliźniego i miłosierdzie, uczył poczucia własnej godności i umiłowania dobra dla dobra samego, uzdrawiał chorych, podtrzymywał słabych a występnym wskazywał oczyszczające źródło pokuty i żalu.

I uczył także, iż nieprzyjacioły swe miłować trzeba sercem szczerem — a o śmierci myśleć jako o wyzwoleniu upragnionem.

I zdało się ludziom, którzy słuchali go i szli za nim, że oto zbliża się panowanie Ducha Bożego na ziemi.

. . . .

. . . .

I gdy padł Kryszna, ugodzony śmiertelnie strzałą występnego Angady, syna ciemności, unieśli uczniowie ciało jego, by je spalić na stosie, ułożonym z wonnych szczap cedrowych. A gdy boski Agni objął już stos i zwłoki proroka, wystąpiła z tłumu Sarasvati i z spokojem wstąpiła na stos, by w śmierci połączyć się z umiłowanym oblubieńcem swej duszy. A za nią poszła lękliwa i słodka Nichdali i zczerniała od łez Ayhay i wiele innych kobiet, które szły za nim przez życie i przysięgły nie opuszczać go nigdy. Uczniowie zaś Kryszny rozprószyli się po świecie.

. . . .

TANCERKA Z XOIS

L. Płonczyńskiej na pamiątkę zimy 1906 r.

2*

Przed tysiącami lat, za panowania króla Amenemhata I-go z dwunastej dynastyi, żyła w górnym Egipcie, w Tebach, mieście o stu bramach, słynna z piękności tancerka imieniem Tei-tis.

Przedziwną i straszną historyę jej życia i śmierci opowiada tak zwany: „turyński papyrus" (będący niejako kroniką XII-tej dynastyi) — i kończy ją słowami: „i stała się podobną ćwierci porąbanego mięsa, Tei-tis, kobieta tak piękna, iż mówiono o niej powszechnie, że dobra bogini Izys poczęła ją w godzinie szczęścia i rozkoszy". Piękność Tei-tis musiała jednak przez długie wieki przechowywać się w pamięci ludu, stać się mytem, jak piękność Heleny greckiej, gdyż w grobowcach i świątyniach, w wielkiej świątyni Amona w Tebach, w świątyni Izydy, w grobowcu Hui odnalezionym w temże mieście, a nawet w jeszcze późniejszych budowlach z czasów ostatnich dynastyi, odkryto freski, na których postać Tei-tis uświęcona przez wieki i legendę, przedstawiona jako personifikacya piękna, jakkolwiek obleczona w hieratyczne

kształty, czaruje niewysłowionym urokiem; jak gdyby malarz nie mógł zapanować zupełnie nad ręką, która na myśl o tej najpiękniejszej w linie sztywne i zimne, wbrew przyjętej od wieków tradycyi, tchnęła niewypowiedziany wdzięk jej wiotkiego ciała.

Na fresku w grobowcu Hui stoi ona pierwsza w szeregu fletnistek, smukła, otulona białą szatą, z głową zwróconą profilem i pochyloną nieco na piersi. Twarz jej, ramiona i drobne stopy znaczone są wedle starego obyczaju kolorem żółtym, a oko jakby z emalii wykonane patrzy wprost na widza z pod rzęsy nadmiernie długiej i ciemnej. Lewą ręką ciśnie do piersi wiązankę wpół rozkwitłych anemonów, prawa, w której trzyma flet i mały zielony wianuszek, symbole jej zawodu, opadła jakoby znużona. Ale co najbardziej zastanawia, że ta twarz egipskiego malowidła ma wyraz, żyje — że załamane boleśnie usta zdają się drżeć, a błyszczące oko z pod grzywy równo przyciętych włosów, objętych złotą obręczą przy czole i obficie spadających na ramiona w sposób, jaki rzeźbiarz uwiecznił w posągu pięknej królowej Nofert, pieści i woła:

— „Otom jest Tei-tis — zdają się mówić jej wargi — czy poznajesz mnie, drogi? czy znasz mnie? — Żyję — tak, żyję od wieków — nieśmiertelna... Czyż naprawdę moje ramiona nie obejmowały Cię nigdy jeszcze? — czyż nie o mnie to marzyłeś w snach swoich? Pójdź — jestem Tajemnicą, zwą mnie zaś Rozkoszą. Czy chcesz piosenki? — piosenka stara jak świat — o miłości. — Miłość — to ja. Czy chcesz zapomnieć o życiu? zrzucić z siebie ciężar istnienia? Tańcząc

przed oczyma twemi, zmienię się w biały kwiat lotosu, ujrzysz go, jako rozkwita i więdnie... tak, więdnie — albowiem wszystko rodzi się, by umrzeć — tylko ja... Ach! jakże znużona jestem, znużona śmiertelnie — jakże tęsknię...“

„Tei-tis“ — pozwólmy jednak mówić staremu papyrusowi z przed czterech tysięcy lat.

— „Tei-tis przyszła na świat w Xois, z rodziców wolnych, lecz ubogich; w zaraniu lat została sierotą. Wtedy uprowadziła ją, złudziwszy pięknemi słowy i obietnicami, kobieta podejrzanej sławy. Przez wiele lat wiodła piękna tancerka życie w nędzy i poniżeniu, przenosząc się z trupą skoczków i muzykantów ze wsi do wsi, z miasta do miasta. W jednej z takich wędrówek poznał ją namiestnik prowincyi Hun i podniósł do godności swej kochanki. W dobrobycie i wygodach piękność Tei-tis rozkwitła upajającym kwiatem. Wkrótce jednak porzuciła starego namiestnika i uszła z młodym Ho-te-pos, śpiewakiem z Teb. Opuściła jednakże i nowego kochanka i przechodziła z rąk do rąk, gromadząc i trwoniąc niesłychane bogactwa. Prędko bardzo stała się sławną — oprócz bowiem nadzwyczajnej piękności posiadała ona niezwykłe talenta, tańczyła tak, iż taniec jej zdał się patrzącym najcudniejszą muzyką, a gdy śpiewała w Memphis przed tłumem niedolę pięknej królowej Nitokris (Nei-ta-ker), cały parotysięczny tłum płakał wraz z nią żywemi łzami, albowiem zdało się, iż to sama Nei-ta-ker zeszła z krainy cieni, by opowiedzieć tym, co ją czcili, historyę swojej miłości i zemsty

Posiadała przytem Tei-tis dar czarowania rozmową i nigdy już nie mógł jej zapomnieć ten, komu było danem rozmawiać z nią przez chwilę. Nie była już zapewne młodą, albowiem, jak niosła wieść, synowie jej kochanków stali się z kolei jej kochankami, choć nikt naprawdę nie wiedział, ile miała lat wtedy, gdy ujrzał ją Amenemhat I, sam już podówczas będący starcem. Rozkochał się on niepomiernie w tej kobiecie, rozpaczliwą, ostatnią miłością człowieka, stojącego nad grobem, i odtąd nikomu nie było tajnem, że Tei-tis królowała światu. Niezmierna jej zręczność, czy też dobroć sprawiła, że nawet na tem wysokiem stanowisku nie miała niechętnych sobie, ani zazdrosnych, co więcej, kapłani popierali ją gorliwie, raz dlatego, że za jej wpływem obracali okrutnym i upartym starcem jak lalką, powtóre, że będąc pobożną i głęboko zabobonną, pozwalała nietylko kierować sobą, ale i nieustannie składała im bogate ofiary. Nawet stara pani Ti, ostatnia z pozostałych przy życiu małżonek Amenemhata I, nie mogła się obejść bez śpiewu i widoku Tei-tis, i piękna tancerka przebywała w jej pałacu nad Nilem prawie równie często i długo, jak w ponurych komnatach Amenemhata. Mówiono także, że następca i współrządca kraju Uzertezen miłował Tei-tis, a jeżeli nie ośmielił się wydrzeć ją ojcu, czynił to jedynie, jak sądzili jedni, z lęku, jak przypuszczali drudzy, z litości nad starcem. To pewna, że on to, już po śmierci ojca powiększając i przyozdabiając świątynię Izydy w Tebach, kazał na jej ścianach uwiecznić w freskach piękną tancerkę i że

z małym złotym posążkiem, który ją przedstawiał, nie rozstawał się przez długie lata. — W czasach zaś, o których jest mowa, Tei-tis, młoda czy stara, jak chcieli niektórzy, była w całej pełni swej nadzwyczajnej piękności i czaru, ramiona jej były smukłe, jak palmy, drżące nad wodą, a gdy śpiewając, wzniosła je w górę...“

Tu stary papyrus staje się już zgoła nieczytelnym, urywa się opowiadanie nieznanego autora — by potem, przy końcu zwoju w paru lepiej zachowanych a okrutnych wyrazach zamknąć historyę tej, która była rozkoszą oczu. Jedno i drugie jednak słowo, tu i tam pojedynczo na papyrusie rzucone, lepiej zachowane, możliwe do odcyfrowania, jakkolwiek luźne i pozornie z treścią poprzednich słów nie mające związku, pozwala fantazyi snuć dalej wątek opowieści.

. . . .

Jednego dnia, gdy Tei-tis w towarzystwie starej niewolnicy wychodziła z świątyni Izydy po złożeniu otygodniowej ofiary z owoców i kwiatów swych ogrodów, u wschodniej bramy świątyni zaczepił ją młodzieniec odziany jeno w krótką koszulę bawełnianą i takiż płaszcz mocno zapylony i zniszczony zda się długą drogą. Na nogach miał płytkie, skórzane sandały o nosach ostro zakończonych, jakich używali podówczas drobni kupcy i rzemieślnicy dolnego Egiptu — a w ręku kij sękaty.

— Pani — rzekł zbliżając się nieśmiało do kobiet — czy to jest świątynia dobrego boga Ptah?

Zdziwiona jego nadzwyczajną pięknością, Tei-tis przystanęła.

— Młodzieńcze — rzekła nie odpowiadając wprost na jego pytanie — czego szukasz w świątyni dobrego boga Ptah?

— Szukam kapłana imieniem Temitokris — odpowiedział młodzieniec — albowiem pragnę uczyć się od niego mądrości, idę pieszo od ujścia Nilu, rodem zaś jestem z Syrakuz.

— Ach mądrości — westchnęła Tei-tis, uśmiechając się lekko pod zasłoną, która szczelnie okrywała jej oblicze — dlaczegóż raczej nie idziesz szukać szczęścia, ty który jesteś tak młody?...

— Pani — rzekł młodzieniec — czyż właśnie osiągnięcie wiedzy nie jest najwyższem szczęściem w życiu? — Szukający mądrości są jako oblubieńcy idący w ogród różany. — — Jakże smutnym jest los tych, co się nie uczą; jako ślepcy idą przez świat, nic w nim nie rozumiejąc, a pragnienia ich są poziome, jak pragnienia zwierząt. Czyż nie szczęściem jest sięgać myślą gwiazd i z starych ksiąg pić słowa przedziwnej mądrości. Nauka ważniejszą jest, niż wszystko inne na świecie; kto o tem od młodości swojej pamiętał, doznawać będzie w życiu czci i poszanowania. Czemże może być bez nauki człowiek ubogi, o Pani? — chyba jako rękodzielnik będzie wieść nędzne życie. Przypatrz się kowalowi, jak stanął do roboty przy ognisku, jego palce wyglądają jakby pokryte skórą krokodyla. Kamieniarz od świtu do nocy natęża ramiona, by zmusić twardy kamień do posłuszeństwa,

a od tej pracy kolana jego i grzbiet wyglądają jak rozbite. Tkacz zamknięty w swoim warsztacie nie wie nawet o tem, że jest świeże powietrze dla ludzi, siedzi skurczony, złamany, sięgając kolanami do serca. Palce farbiarza cuchną jak zgniłe ryby, a zdrowie szewca podobne jest zdrowiu zdychającego zwierzęcia. Zaprawdę Pani, nauka otwiera bramy różanego ogrodu życia, żeby już nie mówić o tem, iż napełnia ona serce stałą i spokojną radością.

Tei-tis słuchała tej długiej przemowy w milczeniu, z uśmiechem lekceważenia na przecudnych ustach. Znała ona mędrców i widziała ich u nóg swoich, ogłupiałych z żądzy, podobnych do dzikich, rozszalałych zwierząt; najlepsi i najmędrsi z nich, mówili jej wtedy, iż napewno to tylko wiedzą, że nic nie wiedzą. Przytem oddawna zwątpiła o wielu rzeczach, zwanych ogólnie pięknemi i dobremi i tak dla zbrodni, jak i dla bohaterstwa miała jeno uśmiech politowania — ale z przyjemnością słuchała upajającej melodyi młodego głosu i śledziła wyraz tej twarzy młodzieńczej, drgającej zapałem i tak nieprawdopodobnie pięknej, jakby była zjawem snu, marzeniem o pięknie, a nie rzeczywistością.

— Młodzieńcze — rzekła cicho, gdy skończył mówić, a głos jej dźwięczał, jak harfa za siedmioma zaworami drzwi hebanowych — idź tedy w bok, koło tej świątyni, aleją sykomorów aż do cysterny marmurowej, potem skręć w lewo, w wąską ulicę — tam każdy przechodzień wskaże ci świątynię Ptah. A potem... — tu gałązką rozkwitłych anemonów dotknęła

jego ramienia — potem, przyjdź mi powiedzieć, czego cię nauczył stary Temitokris.

I wolno uchyliła z twarzy zasłony, patrząc mu w oczy i uśmiechając się wpół-litośnie, wpół-szyderczo.

Przeszła — i oto młodzieniec poczuł bolesny, rozdzierający skurcz serca i lęk, jak gdyby nagle, z poza zasłony, ujrzał tajemną twarz bóstwa, poczuł całe znużenie nóg obrzmiałych od długiej drogi, ciężar ramion omdlałych i zeschłą gorycz spragnionych warg. Jak starzec powlókł się wskazaną drogą.

Tei-tis zaś schodziła w dół, ku rzece, ku ogrodom swoim, cichym, zielonym, szemrzącym od kaskad i sztucznych strumieni.

Szła jak we śnie, z gałązką kwitnących anemonów przy twarzy, z oczyma omdlałemi od nadmiaru pragnień.

— Tei-tis — zawołała na nią stara Nubijka.

Zbudzona, zwróciła ku niej swą cudną głowę.

— Tei-tis — powtórzyła szeptem Nubijka, w głosie jej drżał śmiertelny, ciężki niepokój.

Senny uśmiech przewinął się przez wargi tancerki.

— O! As-ha-ret — rzekła z cicha — któż zdoła oprzeć się miłości i śmierci — ramiona jej opadły jakoby znużone nadmiernie, anemony wysunęły się z rąk i spłynęły wzdłuż sukni, na ziemię — czy potrafisz? czy zechcesz być mi wierną?... — spytała po chwili Nubijki.

Stara niewolnica uklękła przed nią w milczeniu i czołem dotknęła jej stóp — w dali, za zasłoną palm

i pnączów łkała fontanna, albowiem były już weszły w ogród różany.

. . . .

Po długiem błądzeniu po wąskiej i nieskończenie długiej uliczce Teb młody U-tho-fer odnalazł wreszcie świątyńkę dobrego boga Ptah; niepozorna była, mała i zaniedbana. Były to bowiem czasy, kiedy w Egipcie ponad wszystko uwielbiano siłę; Amenemhat I kładł właśnie podwaliny pod gigantyczną świątynię Amona, kłaniano się potężnemu Ra i płodnej Izydzie, czczono okrutnego Sebaka i straszliwą Sechet, albowiem obawiano się ich złowrogiej mocy — dobry zaś bóg Ptah, który opiekował się Prawdą i Pięknem, otrzymywał jedynie ofiary od początkujących artystów i młodych zapaleńców, że zaś ten nieszczęsny odłam ludzkości nigdy groszem nie śmierdzi (co jest pra-prawdą, znaną ogólnie od tamtych zamierzchłych czasów aż po dni ostatnie), więc i ofiary te bywały nader skromne.

Temitokris przyjął z otwartemi rękami młodzieńca i wprowadził go w grono swych uczniów. Był to drobny, zeschły staruszek, już za życia wyglądający, jak dobrze spreparowana mumia, szeroko wzdłuż obu brzegów Nilu słynący z mądrości. Sława ta nie dała mu jednak dobrobytu, o co mędrzec nie dbał, ograniczywszy swe potrzeby do najkonieczniejszej konieczności. Mieszkał w komórce, zbitej z desek cedrowych, przypartej do tylnej ściany świątyni, żył owocami i płaskimi placuszkami pszennymi, wody zaś ze świętego Nilu dostarczał zawsze pod dostatkiem rezerwoar, znajdujący się w pobliżu świątyni. Za to

zwoje pięknie pismem hieratycznem zapisanych papyrusów rosły w stosy i w nieprawdopodobne ilości rozradzały się ptaki, gnieżdżące się popod kapitelami kolumn świątyni, żywione i ochraniane przez Temitokrisa. Uczniów miał on niewielu, lecz za to dobranych i wiernych, ponieważ nigdzie dla nich na tym szerokim świecie nie było miejsca poza komórką ich mistrza. Teu-hos był kulawy i potwornie brzydki i wskutek zupełnego braku sił fizycznych niezdolny do jakiejkolwiek pracy, Ai-is od lat pogrążony w cichem, łagodnem obłąkaniu po stracie ukochanej kobiety i dzieciątka, które urodziła. — Obaj nie mieli żadnych środków do życia, a dalsza rodzina, przeczuwając, że mogą stać się jej kiedyś ciężarem, wyparła się ich czemprędzej. Temitokris żywił ich i odziewał i w wolnych chwilach pouczał o dobroczynnych skutkach wstrzemięźliwości. Do grona należał jeszcze Tho-to, nędzarz z dzielnicy Teu, obarczony liczną rodziną, który, będąc z zawodu scribem, przepisywał niektóre dzieła Temitokrisa, obdzierając go przy tej sposobności ze wszelkiej gotowizny, jaka się była niekiedy zaplątała w fałdy szat zacnego męża.

Temitokris żył więc napozór szczęśliwie między swymi papyrusami, uczniami i ptakami, i codziennie wieńczył nogi dobrego Ptah rozkwitłem kwieciem, kupowanem z własnych funduszów, o ile nie dopisały ofiary, co się zdarzało przynajmniej cztery razy w tygodniu. — Dobry bóg Ptah nie był podówczas w modzie, a zacny Temitokris nie był stworzony do robienia mu reklamy: miał on bowiem jednę maleńką wadę,

(tak zwaną urzędownie: „wielką cnotę“), która niezmiernie utrudnia egzystencyę na tym padole — naprawdę i szczerze miłował prawdę. Przytem jego przekonania religijne nie były zbyt jasno skrystalizowane, ani, że tak powiem, granitowe, zdaje się, że dobrego boga Ptah uważał jeno za symbol Prawdy, Dobra i Piękna, tej świętej „Trimurti“, która (wierzył w to najmocniej) w miarę rozwoju ludzkiego ducha, po setkach lat, stanie się jedyną religią świata — (biedny mędrzec z przed czterech tysięcy lat!)

Uczniowie, biedni dzielnicy i chorzy, których leczył, nazywali go ojcem lub czcigodnym, on mówiąc o nich lub do nich, zwał ich „najdroższymi“ — i nigdy dobry, cierpliwy uśmiech nie schodził z jego zeschłych warg — w głębi serca jednak, gdzieś na dnie, pod nieprzebranym wiecznie bijącym zdrojem wyrozumiałości i współczucia, krył ostry jak szpony sępa żal i tęsknotę. Wiedział że nie doczeka świtania lepszych dni, albowiem był starcem i przekroczył już dawno siódmy dziesiątek lat — i wiedział, że nie pozostawi po sobie nikogo, ktoby w żywem słowie przeniósł w dalsze pokolenia jego naukę, wiarę, nadzieję — nikogo ktoby je szczepił młodemi, pełnemi zapału rękami na dziczkach ludzkich dusz. Wiedział, że nie uczyni tego nieszczęsny i łakomy na placki pszenne Teu-hos, ani Ai-is, którego słodka, niewinna dusza błądziła po polach śmierci, ani Tho-to uginający się pod ciężarem nędzy — papyrusy zaś... ach! papyrusy — ileż ich widział pod płaszczem osiadłego przez stulecia pyłu!! — Temitokris myśląc tak, cierpiał

i tęsknił — i nieświadomie, oną krzyną nadziei przydaną do goryczy istnienia każdego z nas, czekał Cudu. Czekał ust płomiennych i serca bijącego na odrodzenie jak dzwon, oczu ciskających błyskawice i silnych ramion, któreby podniosły w górę sztandar prawdy i piękna, nóg któreby poszły w świat deptać chwasty tej ziemi — i rąk, młodych rąk dwoje, coby zamknęły oczy jego na wezgłowiu śmierci, na wieczny odpoczynek.

To też gdy onego wieczora ciężkiego od żaru wiejącego z pustyni stanął przed nim U-tho-fer, starzec podniósł się z miejsca swego jakby w olśnieniu i wyciągając do niego obie ręce rzekł głosem drżącym od łez:

— Witaj mi synu!

Nocą zaś modlił się bogom:

„Błogosławiona bądź o Mocy twórcza, przedwieczna, która stwarzasz w nas myśl i pragnienie i sycisz je siłą swej opatrznej Woli. Tyżeś to kierowała krokami młodzieńca poprzez piaski pustyni, by sercu memu i myśli mojej dać syna. Błogosławiona bądź po trzykroć i po trzykroć pochwalona, iżeś napoiła serce moje pragnące od lat. Wołałem poprzez pustynię życia mego i jużem zwątpił, albowiem zbyt się przed oczyma memi rozpętała moc Zła. Przygniotła mnie starość i stałem się podobny zeschłej palmie u skraju pustyni. Wtedy przed oczy moje przywiodłaś Młodość, Piękno i Siłę, aby podjęły krwawy trud. Błogosławiona bądź o boska, czujna siło, wyroki twe sprawiedliwe są i celowe. Trzeba było aby wargi me wyssały całą

gorycz życia by mogły nauczać słodko i spokojnie. Przebacz mi zwątpienie i pomnij, że ciężar zbyt był wielkim na me strudzone, starcze barki. Wierzę w Ciebie o Boże jedyny, nieznany i nieobjęty, który stworzyłeś światy i serca ludzkie, dla celów swych tajemnych — wierzę w myśl twoją i siłę o wielki! o święty! o nieśmiertelny!...“

. . . .

Cierpliwie odcyfrowywał tedy U-tho-fer stare papyrusy, święte i tajemnicze księgi proroków; a z pism boskiego Dhuti pił piękno pieśni i opowieści. Długie dni płynęły mu jakoby we śnie, a noce bezsenne były i ciężkie od myśli i marzeń; albowiem działy się z nim rzeczy dziwne, zgoła nieoczekiwane, o których nie ośmieliłby się mówić nauczycielowi. Bo oto gdy schylony nad „księgami mądrości“, wczytywał się w tajemną naukę o gwiazdach, na kartach starej księgi wykwitały nagle jakieś cudne ręce, a z oddali patrzały ku niemu oczy ciemne, omglone, jak fiołki pod ranną rosą.

Przedziwny uśmiech ust okrutnych i słodkich zarazem przeczył mądrym i zimnym słowom boskiego Dhuti i za każdem słowem księgi powtarzał inne, słowa szalone i bezwstydne, wybuchające jak płomienie, czerwone od żądzy i krwi, łkające od tęsknot i westchnień — wołał słowa upragnień, wieszczące o dniu ciemną noc rozkoszy.

Czasami, nocą zwłaszcza, słyszał U-tho-fer zbliżający się ku niemu szmer lekkich kroków, szelest dzierganej złotem szaty, — drżąc, siadał tedy na posłaniu i łudząc się świadomie, czekał. Wtedy kroki

owe stawały się tak bliskie, iż prawie czuł je tuż przy sobie, owiewał go czarowny zapach rozkwitłych anemonów i coś, jakby szept czy westchnienie szemrało mu u piersi. Zdjęty gorączką, wyciągał przed się ramiona, a napotkawszy próżnię, walił się na łoże, jęcząc cicho z bolu i pragnienia. Okrutna pusta noc wlokła się w męce, a ranek zastawał go, jakoby zdjętego z krzyża. — I znów wczytywał się w mądre słowa Kakemny i Dhutiego, lub milcząc, słuchał napozór uważnie słów Temitokrisa, nie zawsze jednak wiedząc, o czem mówi zacny starzec, albowiem, chyża myśl niosła go daleko, ku nieznanym a upragnionym brzegom, kędy zgorączkowana wyobraźnia stwarzała tajemne ogrody przerażeń i upojeń, wizye okrucieństw i rozkoszy nadludzkich, widziane poprzez mgłę niezwalczonej, natrętnej tęsknoty.

— Ponad wszystko jednak, o synu mój, — mówił Temitokris — strzeż się kobiety; słowa jej słodkie są, jak miód, a ramiona wiotkie i silne, jak owe liany u źródeł Nilu, o których mi mówiono, że oplątują i walą o ziemię stuletnie cedry, wyssawszy z nich poprzednio soki i strawiwszy do cna ich miąższ.

— Usta jej słodkie są, jak miody — myślał U-thofer — a ramiona jej wiotkie są i silne... o! ramiona piękne i upragnione...

— Miłość kobiety zda się światłem — naprawdę jednak kobieta zaciemnia sobą wszystko i chłonie w siebie światło duszy mężczyzny...

— Miłość jej jest światłem, wobec którego wszystko gaśnie — a dusza moja idzie ku niej na nic niebaczna ni pomna...

— I to wiedz, że nic ci ona nie da w zamian, prócz krótkotrwałego złudzenia.

— Błogosławione bądź, o piękne złudzenie, o złudzenie rozkoszne... choćbyś tak krótko trwało, jak sen...

— Rozkosz cielesna plami duszę mędrca — a płomień nieczysty pożera jego myśl, jako ogień pożera słomę ryżową.

— Błogosławiony bądź o płomieniu boży, który rzucasz ku sobie mężczyznę i kobietę, i dajesz im czerpać z siebie rozkosz, jako Egipt czerpie ożywczą wodę ze świętego Nilu...

— I nic nie stworzysz rękoma drżącemi z żądzy.

— Rękoma drżącemi z żądzy obejmę biodra jej, podobne pędom rozkwitłych lilii, i stworzę w obojgu nas piękno zachwytu i upojenia...

— I to wiedz jeszcze, że po pewnym czasie kobieta niewierna stanie ci się przekleństwem, a wierna ciężarem nieznośnym, którego napróżno radbyś zbyć potem...

— Obciąż ramiona moje ciężarem twych ramion i usta moje zamknij twemi usty, a oczy moje zasłoń chmurą twych włosów, abym nic nie widział naokół, jeno czuł, iż niosę ciebie!... ciebie!... i aby żadne słowo ni westchnienie, któreby mogło zmącić szczęście tej godziny, nie padło z ust naszych...

— Zaprawdę, kobieta gorszą jest o wiele, niźli to wszystko, co o niej mówię; słaba jest a podstępna i chciwa władzy, przeto jako cierpliwy pająk umiejętnie oplątuje mężczyznę nieskończenie misterną sie-

cią złud i omamień, aż pozbawi go sił i uczyni swym niewolnikiem. A imię jej jest „Kłamstwo"...

— Zaprawdę, piękniejsza jesteś o nieznana, niźli najśmielsze marzenia — piękniejsza ponad wszystko i ponad wszystko upragniona; u nóg twych chciałbym ledz jako niewolnik i stopy twe białe jako kwiaty lotosu czuć na mej głowie. A imię twoje jest Miłość".

— To co nazywamy Miłością jest jeno grubym krzykiem zmysłów, niegodnym mędrca — kobieta zaś jest tą, która budzi w nas zwierzę, za co niechaj będzie przeklęta.

— Niechaj będzie błogosławiona święta siła Miłości i piękne, silne zwierzęta, które oddają się jej na łące życia, albowiem takimi stworzyła je boska moc Amona — i niechaj błogosławiona będzie ta, która idzie od źródła z uśmiechem obietnic i niepokojem pragnień w źrenicach, albowiem jest ona jako zdrój żywej wody ustom spragnionym.

— Posłuchaj synu co mówi boski Dhuti: „słodką i dobrą jest samotność darząca mędrca myślą i umacniająca go w prawdzie i cnocie — albowiem przez myśl objawia się moc bóstwa, a prawda i cnota są jako dwie siostrzyce sercu samotnika".

— Słodką i dobrą jest ta, której nie znam z imienia, albowiem przez nią objawiła się siła mych pragnień i tęsknot — i wstały we mnie nowe światy i moce, i jako cud objawiła się sercu memu, sercu samotnika...

— Zapamiętaj synu to com ci rzekł — aby gdy staniesz w obliczu kobiety...

— Czy przyjdzie ta której czekam i pragnę! — czy przyjdzie?! — pragnę jej ust które są jako dojrzałe grona winnej jagody i ramion jej, co są jako palmy drżące nad wodą... oczy jej są jako fiołki pod ranną rosą, a ręce jej podobne są kielichom lilii, ręce wonne i czarujące. Szyja jej smukła jest i gibka, i smukłe jako dwie bliźnie kolumny są jej uda, a biodra krągłe są i jędrne. — Jako dwie białe gołębice u źródła są jej piersi, u źródła co zwie się rozkoszą. Uśmiech jej jest jako melodya daleka, a głos jako szmer kaskady w gąszczu róż i powoi... Czy przyjdzie ta której czekam i pragnę! — czy przyjdzie...

— Synu mój podaj mi rękę, albowiem jestem stary i zmęczony — i pójdźmy w cień sykomorów, abym cię uczył ponad wszystko w życiu cennej mądrości — i wskazał ci piękno prawdy, która jest jedyną, jak jedynem jest Bóstwo, mimo wszystko co uczą o tem kapłani...

— Czy przyjdzie?...

. . . .

Nie przyszła — ale jednego wieczora kładąc się spać, znalazł U-tho-fer u wezgłowia swego posłania trzy, rozkwitłe, ponsowe anemony. — Stanął jak w olśnieniu, albowiem były one jako wołanie z krainy szczęścia. Ręka nieznana, która je tu położyła, uczyniła to widać przed chwilą, kwiaty były bowiem świeże, chłodne i wilgotne od rosy. Próżno myślał U-tho-fer ktoby to mógł uczynić i niewidzialny zakraść się do nędznej celi w której sypiał — aż zrozumiał iż było to rzeczywiście wołanie tęsknoty

miłosnej poprzez szarzyznę dni powszednich. Upadł wtedy twarzą na owe kwiaty i przeszalał noc w marzeniach równie słodkich jak i szalonych. Zimne płatki anemonów pieściły jego oczy i rozpłomienione usta, któremi całował je w nieskończoność, dając im nazwy dziecinne i pieszczotliwe. Wreszcie pod żarem jego pocałunków rozpłomieniły się i kwiaty i jako wrzące pieczęcie przywarły do jego ust i policzków. U-tho-fer tuląc je i całując, marzył o wargach wonnych i upojnych na ustach swoich i ramionach jako pędy powoi u szyi swojej.

Owładnięty pragnieniem, osłabły, gdy marzenie się rozwiewało, łkał jak małe, zmęczone dziecko. O świtaniu zerwał się z posłania i ukrywszy zwiędłe anemony na piersiach wyszedł z celi. Temitokris nie spał już, wśród kolumn portyku, karmił ziarnem synogarlice. U-tho-fer uchodząc skradał się bokiem świątyni, by się nie spotkać ze starcem, a równocześnie czuł głęboki żal nad nim i gorżko wyrzucał sobie niewdzięczność, albowiem wiedział, iż go miłował jak syna. Zeschłe anemony paliły jednak jego piersi i gnały go w świat po szczęście; objął tedy oczyma raz jeszcze małą świątyńkę dobrego boga Ptah, szereg przyciężkich, jaskrawo polichromowanych kolumn, nagą głowę nauczyciela, jego suchy, dobrotliwy profil i przygarbione plecy — i odszedł — na zawsze.

Dzień cały błąkał się po Tebach. Późno, dopiero pod wieczór uświadomił sobie, że nie znał nawet z imienia tej, której szukał, Teby zaś liczyły podówczas tysiące i tysiące mieszkańców. Zmęczony, zrozpaczony

zszedł w dół, ku rzece. Była to dzielnica bogaczy — ogrody tarasami spadały ku brzegom Nilu, a białe wille z cienia palm i sykomorów wykwitały jak kwiaty. U-tho-fer zeszedł na sam brzeg rzeki i rzucił się tu na ziemię. Wilgotne opary powstawały z Nilu i jakby obłokiem przeźroczej gazy przysłaniały krajobraz. Święta rzeka płynęła cicho wśród brzegów obrosłych trzciną, papyrusem i sitowiem, a wielka kula słoneczna zapadłszy już w stronie pustyni, rozsnuła na zachodzie krwawe blaski, rzucając ich odbicie na wodę. Opodal miejsca, na którem spoczywał U-tho-fer, jakiś biedny człeczyna cierpliwie zapuszczał w głąb rzeki wędkę — byli tak blisko siebie, że mogli rozmawiać, ale rybak skwapliwie zachowywał milczenie. Wreszcie gdy zapadł mrok i poraz nie wiedzieć już który wyciągnął próżną wędkę, ozwał się podchodząc ku U-tho-ferowi:

— Zły połów dzisiaj panie, trzeba iść spać o suchym pysku.

U-tho-fer podzielił się z nim pszennym plackiem, który niósł w zanadrzu — a człeczyna usiadłszy przy nim w kucki, począł go zaraz spożywać.

— Zaprawdę panie — rzekł ruszając ogromnemi żuchwami — ani się nie wie, kiedy się trafi na dobrego człowieka, chciałem już iść żebrać u drzwi Tei-tis, od wczoraj bowiem nie jadłem.

— Któż jest ona Tei-tis — rzekł U-tho-fer, aby coś powiedzieć.

— Czyż nie jesteście z Teb panie, że nie znacie Tei-tis? — odpowiedział nędzarz ze zdziwieniem —

jest to tancerka tak piękna, iż Faraon uczynił ją swą nałożnicą, a tak bogata, że gdyby chciała, mogłaby kupić całe Teby ze wszystkiem, co się w nich znajduje — przytem mówią, że to boska Izyda wydała ją na świat i otacza ją swą łaską i opieką. To pewna, że wszystko udaje się tej kobiecie.

— Czy widziałeś Tei-tis?... — przerwał U-tho-fer, sam nie wiedząc czemu owłada nim drżenie.

— Widziałem panie tak, jak widzę ciebie. Często w towarzystwie starej niewolnicy odwiedza pieszo świątynie, ale wtedy idzie osłonięta gęstą zasłoną — ja zaś ją widziałem, niesioną w lektyce przez siedmiu Nubijczyków; byli oni cali czarni i spaśli, mieli wpół ciała szkarłatne przepaski, a w uszach krągłe, złote zausznice. Lektyka była odkrytą, a po obu jej bokach szły niewolnice z wachlarzami z piór...

— Ale Tei-tis... — zaszeptał U-tho-fer, oddając rybakowi drugą połowę placka.

— Dziękuję ci panie, choć jeśli sam nie jesteś głodny, słusznem jest, iż oddajesz chleb głodniejszemu i gdyby tak czynili wszyscy ludzie, zaprawdę całkiemby inaczej wyglądało na świecie. — Pytasz o Tei-tis? tak, jest bardzo piękną — szaty jej aż kapały od złota i lśniły się jak szaty bogini, nad czołem miała złoty krąg, zakończony głową węża — nie przypatrzyłem się dobrze jej twarzy, albowiem jeden z jej niewolników zdzielił mnie właśnie pięścią między oczy. — Tak, nie wolno patrzeć w oblicze Tei-tis, gdy się jest rybakiem z dzielnicy Teu; figi są słodkie, ale nie wszystkim dane jest je spożywać... niech jednak bę-

dzie błogosławiona piękna Tei-tis, resztkami, które schodzą z jej stołów doskonale można napchać brzuch.

— Jest litościwą? — spytał U-tho-fer.

— O i jak jeszcze; połowa dzielnicy Teu oblega wieczorem jej kuchnie, ale ja panie jestem z dobrej rodziny, przeto wstyd mnie wystawać pode drzwiami nierządnicy; dlatego na dziś wolę wasz pszenny placek. Czy myślicie nocować tu panie? — spytał, zbierając się do odejścia.

— Czekaj... — rzekł zdławionym głosem U-tho-fer — gdzie mieszka Tei-tis?

— Zaprawdę, panie, nie jesteście jak widzę z Teb — odrzekł rybak — leżycie bowiem u krańców jej ogrodów, a gdy pójdziecie brzegiem ich w górę, napotkacie bramę, objętą białemi kolumnami, która zawiedzie was do drzwi Tei-tis. Com wam to chciał jeszcze powiedzieć — ot, jeśli jesteście chwilowo w potrzebie, a umiecie grać pięknie na lutni, moglibyście tymczasem znaleść zajęcie w jej domu. Mówili mi wczoraj jej niewolnicy, że lutnista, który grywał w czasie uczt, ciężko zachorzał i po całych Tebach szukają za innym. Nie wiem czemu, ale mi wyglądacie na takiego, co gra na lutni i składa pieśni.

— Dobrze, pójdę — rzekł cicho U-tho-fer.

— Niechaj was bogi prowadzą — rzekł na odchodnem człeczyna — radbym wam się odwdzięczyć za wasz pszenny placek; nie łatwo dziś spotkać szczodrego człowieka, nie łatwo. Idźcież, bo noc zapada, a tu nad brzegiem nie zawżdy bezpiecznie.

U-tho-fer podniósł się ciężko i powlókł się w górę,

wzdłuż muru wskazanych ogrodów. — Szedł długo, zanim napotkał bramę, objętą białemi kolumnami; była otwarta, przeto wszedł do wnętrza. Szeroka, żółtym piaskiem wysypana aleja prowadziła w głąb mrocznych ogrodów. U-tho-fer szedł nią, zwiędłe anemony przyciskając do piersi. Palmy szemrały mu nad głową, a przedziwne wonie płynęły ku niemu z głębi ogrodów, jak upojne pieśni istot nadziemskich. Błądził długo, nie spotykając nikogo, aż nagle, z mroku, wyłonił się przed nim dom biały, ogromny, ciężką podstawą wparty w ziemię. Równocześnie zastąpił mu drogę odźwierny.

Jak we śnie wyciągnął ku niemu U-tho-fer rękę z zeschłymi kwiatami anemonów.

— Idź — rzekł — oddaj to Tei-tis i powiedz, że czekam.

Niewolnik zawahał się w pierwszej chwili, potem wziął kwiaty i oddalił się. U-tho-fer, zostawszy sam, oprzytomniał... Skądże miał pewność, iż Tei-tis była właśnie tą, której szukał! Działał w jakimś śnie, półświadomie, jakaś niewytłómaczona siła działała poza nim i pchała go do czynu, który był co najmniej szalonym. Oto za chwilę nadejdą słudzy Tei-tis i napędzą go stąd sromotnie, lub w najlepszym razie wezmą go za waryata. Czyż nie lepiej uciec stąd co prędzej — myślał z rozpaczą U-tho-fer — i powrócić pod cichy dach Temitokrisa, kędy go czekają dobrotliwe słowa przebaczenia. Zaprawdę jedyna to droga, śpieszna ucieczka — i myśląc tak, U-tho-fer, usiadł na granitowych stopniach domu Tei-tis i czekał...

Cicho ozwarły się spiżowe drzwi pałacu — cicho zstępowała ku niemu postać kobieca.

U-tho-fer, spojrzawszy na nią, zadrżał od stóp do głów, przeczuwszy w niej raczej, niźli poznawszy Nubijkę, która towarzyszyła Tei-tis na drodze do świątyni.

Milcząc, niewolnica skinęła, by szedł za nią. Podniósł się i począł wstępować na schody, rzeźbione, bogato złocone drzwi spiżowe zawarły się za niemi. Weszli do ogromnego, chłodnego przedsionka, rozświeconego niepewnem światłem błękitnych lampek. Szli przez długi szereg mrocznych komnat, nie spotykając na drodze swej nikogo. Dom cały zdawał się jakoby wymarły, najlżejszy szmer nie dochodził uszu prócz szelestu ich własnych sandałów, uderzających o marmurowe posadzki. Przechodzili z jednej komnaty do drugiej, a ciężkie, jedwabne zasłony u drzwi opadały za niemi równie cicho, jak cicho podnosiły je ręce niewolnicy. U-tho-fer szedł wpół-przytomny, z oczyma zasnutemi mgłą. Nubijka szła ciągle przodem, kierując krokami młodzieńca. Nagle rozchyliła przed nim zasłonę u jakichś nowych drzwi i cofnęła się. U-tho-fer wszedł sam i czuł, jak ciężki jedwab zasłony zsunął się znów za nim, ocierając się prawie o jego plecy. Komnata, do której wszedł, była przepojona mdłem światłem, dziwny zapach jakoby przywiędłych róż napełniał ją po brzegi. Oczy jego uderzył jakiś przesłodki ton błękitu, który rozwieszał się po ścianach i spływał ku posadzce deszczem srebrzystych gwiazd. Gdy oprzytomniał nieco i podniósł głowę, ujrzał pod jedną ze

ścian niskie łoże, a na niem kobietę, owiniętą całą jakoby w światło księżyca, w szatę, lśniącą przedziwnym blaskiem umarłych gwiazd.

— Wiedziałam że przyjdziesz, czekałam cię, pójdź...

Głos, który to mówił drżał i śpiewał, zdawał się płynąć z odddali z potokiem tych srebrzystych gwiazd, które wzdłuż ścian sypały się ku ziemi.

U-tho-fer podszedł i padł u wezgłowia jej łoża — wtedy to ujrzał zbliska tę, której pragnął.

Jakże nadziemsko była piękną — nigdy, w snach nawet, nie widział słodszej twarzy i ust. Oczy jej były jako fiołki pod ranną rosą, nieco zdziwione, nieco smutne i jakoby wilgotne od łez. Ciemne, lekko wijące się włosy obejmowały czoło gładkie, i w ciężkich splotach spadały wzdłuż nagiej szyi i ramion. Pod lśniącą szatą leżała smukła i czysta jako oblubienica bogów. Cudne jej ręce o palcach szczupłych i długich trzymały zeschłe, zczerniałe kielichy ponsowych anemonów.

— O Tei-tis! — zawołał U-tho-fer — o Tei-tis! — resztę słów stłumił w nim płacz; wcisnął głowę w poduszki jej łoża i łkał, płakał jak dziecko. Jakże tęskniłem za tobą... jakże pragnąłem Cię... — rzekł wreszcie przez łzy.

Wyciągnął ramiona by ją objąć.

Usunęła go lekko.

— Czy wiesz kim jestem? — rzekła z nieopisanym smutkiem — czy wiesz, żem niewolnicą? — czy kochasz mnie dość silnie, by chcieć umrzeć, bo i to wiedz, że ceną mojej miłości jest śmierć...

— Kocham cię o Tei-tis! kocham cię dość silnie by chcieć umrzeć...

— Umrzemy więc oboje — rzekła — lecz zanim przyjdzie śmierć, o drogi! długie przed nami godziny szczęścia, miesiące, lata może... Ach! umiem kłamać — i kocham cię...

Objęła go ramionami i czule, ostrożnie, zcałowała ostatnie łzy z jego powiek.

. . . .

„... tedy zwiedziawszy się o zdradzie Tei-tis, Faraon skazał ją na śmierć przez rozćwiartowanie, i stała się podobną ćwierci porąbanego mięsa, Tei-tis, kobieta tak piękna, iż mówiono o niej powszechnie, że dobra bogini Izys poczęła ją w godzinie szczęścia i rozkoszy“... — kończy stary papyrus opowieść o pięknej tancerce, że zaś nie wspomina nic o jej kochanku, należałoby wnosić, że udało mu się ujść przed zemstą Faraona.

KRÓLOWA SABY

A królowa z Saby usłyszawszy sławę o Salomonie i o imieniu Pańskiem przyjechała, aby go doświadczyła w zagadkach.

2 Kron. 9, 1. Mat. 12, 42. Łuk. 11, 31.

...Ujrzawszy zbliżającą się królowę Saby Salomon zaśpiewał sercu swemu:

„Jakże piękną jesteś o przyjaciółko moja, o oczekiwana!

W snach widywałem oczy twoje podobne gwiazdom płonącym i usta twoje, słodkie i nęcące jako źrały i rozpękły owoc granatu.

Czekałem Cię o idąca ku mnie z oddali jako obłok złocisty — —

Drogi, któremi iść miałaś, kazałem wymościć kwieciem i ocienić ściętemi palmami, by skwar południa nie znoił czoła twego o piękna!

I kazałem na drodze twojej wznieść cysterny marmurowe a w skałach przydrożnych bić studnie, by nigdy pragnienie nie osuszyło ust twych wilgotnych, stworzonych do rozkoszy.

O jakże piękną jesteś o przyjaciółko moja — o oczekiwana!"

Królowa Saby zaś podszedłszy ku niemu rzekła:

— Idę z dali o Panie, by pokłonić się nie sile twojej, boć sama jestem silna, ni bogactwom twoim, bo wiesz iż mam ich tak wiele — — — jeno mądrości twojej, o której doszła mnie wieść, albowiem jestem znużona i lękam się i trwożę...

W milczeniu ujął Salomon jej rękę, drobne palce okryte pierścieniami aż po nasadę różanych paznogci, i wiódł ją przez marmurowe schody aż do cedrowych drzwi domu swego, zdobnych w rzezane i bogato złocone lwy i cheruby, rozkwitłe kwiaty i palmy. A za nimi cicho wstępował w górę orszak królowej, zastępy wojów i dostojników dworskich, towarzyszki jej i służebne, grajkowie, tancerki i mimy.

A tymczasem, na placu przed pałacem królewskim czynił się i rósł zgiełk, albowiem pół Jeruzalemu wyległo, by obaczyć wjazd królowej i powitanie jej z Salomonem; a teraz oblegało jej żołnierzy, kwadry piechurów i dzikich jeźdźców arabskich, karawanę objuczonych wielbłądów, które na garbach swych niosły przez pustynie dary królowej: sto i dwadzieścia talentów złota i rzeczy wonnych bardzo wiele, szczapy drzewa almugimowego i drogocennego hizopu, drogie kamienie i przeźrocze tkaniny arabskie, purpurę syryjską, barwnie znaczone płótna egipskie i krasne wełniaki z Hetei; amfory i dzbany etruskie i greckie, napełnione olejami, jako i sto mis ze złota ciągnionego, nie licząc kości słoniowej i futer zwierząt drapieżnych, ni stada pawi, które dnia tego pierwszy raz oglądano w Jeruzalem.

Ciekawy, krzykliwy i chciwy lud izraelski cisnął się ku przybywającym, ku nagim poganiaczom, którzy wstrzymali właśnie karawanę w pół placu i poczęli zdejmować cenne juki i łuby z wielbłądów, i ostawiając je pod strażą żołnierzy, wiedli zmęczone zwierzęta ku słynnej cysternie miedzianej, którą uczynił był na żądanie Salomona Hiram z Tyru i odlawszy z przedniego kruszcu i ustawiwszy przed pałacem królewskim, sparł na dwunastu miedzianych wołach, zwróconych po trzy w cztery strony świata i która była tak wielką, iż zwano ją powszechnie „morzem“, a brała w się przeszło dwa tysiące wiader i mogła sama starczyć na całe Jeruzalem, gdyby onych stu studni, które bić kazał Salomon, nie stało.

Szły tedy długim sznurem przez plac wielbłądy dwu i jednogarbne, szło sto i pięćdziesiąt niewolnika otoczonego strażą i tyleż koni arabskich, ogierów wielkiej krwi i ceny, które królowa wwiodła w Jeruzalem, by je ofiarować Salomonowi. A naokół cisnął się żądny wrażeń tłum i coraz ciaśniejszym zaciskając się pierścieniem wokoło przybyłych, ryczał ogłuszającym krzykiem radości i oszołomienia.

Nagle, na czterech rogach placu zagrzmiały trąby mosiężne na znak, że królowa wstąpiła w dom Salomonowy.

. . . .

Poczęła się uczta — królowa spoczęła po prawicy, Salomona, na łożu wzniesionem, owiniętem w złotogłów i girlandy wite z płomiennych róż syryjskich, białych fiołków z doliny Jordanu i liści wa-

wrzynu. Przed oczyma jej przesuwały się barwne obrazy; niezliczone, gwarne tłumy współbiesiadników, tancerki egipskie i judejskie, wpół nagie dziewczęta z gór Libańskich, które wykonywały tańce pasterskie przy odgłosie fletni, śpiewacy z Syonu jęczący przy akompaniamencie harf, siłacze Sydońscy i smagłe niewolnice Jebuzejskie, grajkowie i nieporównane mimy sprowadzone z niesłychanym kosztem i trudem z wysp Jońskich, sztukmistrze moabscy i kuglarze edomscy, czyniący dziwy w wonnym dymie szczap cedrowych.

Podsuwano jej szczerozłote misy uginające się pod ciężarem jadła, puchary cyzelowane w złocie i sadzone drogimi kamieniami, inne rzezane ozdobnie w krysztale górskim, grające w świetle płonących pochodni siedmiobarwną tęczą blasków — obok niej Salomon utrefiony, namaszczony wonnościami, strojny w szatę szytą złotem i purpurą, pochylony nad nią i nią tylko zajęty, szeptał słowa gorące, upojne.

Królowa milczała.

— Przecz milczysz o najmilejsza? — spytał Salomon.

Podniosła z trudem głowę uginającą się pod ciężarem assyryjskiego dyademu i patrzała długo w głąb ogromnej, rojącej się tłumami sali.

— Zaprawdę, bogactwa twe są wielkie o Salomonie — rzekła wreszcie.

Gwar i gorąco w sali wzmogły się — tłumy spojone winem wrzały jak fale wzburzonego morza — podniecenie, czerwony szał począł ogarniać wszystkich; pieśni śpiewaków stawały się coraz gorętsze, ruchy tan-

cerek coraz bardziej wyuzdane — jako pomruk zbliżającej się burzy — orgii, szedł salą zdławiony, urywany, okrutny chichot.

Wtedy zadrżały i rozchyliły się błękitne opony, kryjące dotąd potężne, grubo złocone belkowanie powały i obyczajem egipskim, który córka faraona wniosła w dom Salomonowy, na głowy biesiadników począł padać deszcz kwiatów, róż, lilii, anemonów, fiołków i fioletowych irysów, kwiatów pomarańcz, magnolii i wonnych ziół górskich, zebranych w cedrowych lasach Libanu.

Królowa leżała u boku Salomona, nieruchoma i sztywna pod całunem kwiatów, blada jak lilie, które zasypywały jej piersi — nagle ciężej jeszcze opadła na wezgłowie, omglone oczy zginęły pod powiekami, zaszemrały zbielałe wargi:

— Uchodźmy stąd panie... słabo mi... powietrza!...

Czujne ucho Salomona pochwyciło ten zamierający szept; pochylił się nad nią i objąwszy ramionami dźwignął w górę — niosąc omdlałą zszedł z podwyższenia i przeciskał się ku drzwiom przez tłum, który resztką świadomości rozstępował się przed nimi. Szedł przez mroczne korytarze i sale, słabo rozświetlone światłem lamp oliwnych a w miarę, jak się oddalał od sali biesiadnej, milkł, zamierał gwar.

Pchnął wreszcie jakieś drzwi spiżowe i z ciężarem swym wyszedł na ganek.

Na obłych wzgórzach rozsiane, otulone w mrok i ciszę spało u stóp ich Jeruzalem. Nieprzeliczone, białe domki o płaskich dachach, jak okiem sięgnąć

zalegały doliny i wyniesienia gruntu. Tu i ówdzie majaczyły ogrody oliwne. Pośrodku, naprzeciw pałacu Salomona, ciężka, ogromna, zda się przygniatająca sobą wszystko, ciemnym konturem rysowała się świątynia.

Lekki wietrzyk wiejący od gór Libanu oprzytomnił królowę, wysunęła się z ramion Salomona i wsparta plecami o porfirową kolumnę, długo, w milczeniu patrzała na miasto; wreszcie wyciągnąwszy przed się białą rękę i wskazując nią miasto rzekła:

— Zaprawdę, potęga twa jest wielką o Salomonie...

On objął ją ramieniem i przygarnąwszy ku sobie począł mówić z ustami przy jej uchu, które jako koncha bezcennej muszli kryło się w kędziorach włosów miękkich, pachnących.

— Potęga nie daje szczęścia, nie dają go i bogactwa, daje je Miłość. Upojenie miłosne pozwala bowiem zapomnieć o życiu. Wszystkie bogactwa tej ziemi i całą moc moją oddałbym za jeden pocałunek twych ust. Za niebo twych rozwartych ku mnie ramion, oddałbym Wieczność. Pójdź... bym ci zaśpiewał najpiękniejszą pieśń miłosną na ziemi...

— Najpiękniejsza pieśń miłosna na ziemi została już wyśpiewaną o Panie — odrzekła ze smutkiem królowa — wyśpiewała ją niewolnica twa Sulamit, którą wydarłeś z ramion kochanka i uprowadziłeś z rodzinnych gór i która umarła wydając na świat twe dziecię. Za temi to zimnemi ścianami wyśpiewaną została najpiękniejsza pieśń miłości i tęsknoty.

— Skąd znasz tę pieśń — rzekł chmurząc się Salomon.

— Śpiewają ją wszak po całej ziemi judejskiej, jak długa jest i szeroka, śpiewa mi ją co dnia prawie, służebna ma, Miryth, judejka. Umarła Sulamit słodka i płochliwa, która w dniach szczęścia pasała owce na zboczach Libanu — —

— Umarła — powtórzył za nią cicho Salomon — dawna to historya, pieśń jest piękną... tak, bolesna to historya, zda mi się bowiem, że złamałem cudny kwiat... Ale dlaczego przypominasz mi ją?! dlaczego między nami ma stanąć smutny cień umarłej! O najpiękniejsza! nigdy, przez jedno mgnienie oka, nie miłowałem i nie pragnąłem tak gorąco Sulamit, jak miłuję i pragnę Ciebie.

Miłowałeś o panie i, nietylko białą Sulamit — i dziś jeszcze czterdzieści żon nudzi się za kratami twego pałacu, nie licząc nałożnic ni niewolnic.

— Porzucę wszystkie, wyrzeknę się wszystkich dla Ciebie — zawołał Salomon.

Królowa dumnie wstrząsnęła głową — zimne jej oczy stalowym, ostrym blaskiem przeszyły wskroś Salomona, ręka, która go wstrzymała, nakazujący, królewski miała gest.

— Nie przyszłam tu po uścisk twych ramion — rzekła — ach! nie. Znam to, co zwiesz miłością, wszak wiesz, że znam — ułudy... ułudy... ból. Przez pustynie szłam ku tobie, poprzez pustynię życia mego — Ach! tak, pragnę! łaknę! umieram! — — Prowadź mnie... wskaż mi... Chcę kochać! wierzyć! paść

twarzą w proch! ukorzyć się! — Wszak jesteś mądry! wszak jesteś mądry! — daj mi pić... wskaż mi źródło. Pytałam napróżno kapłanów egipskich i mądrych Chaldejczyków i synów Maholowych; przedemną to kazali magowie assyryjscy i babilońscy, a Etaan Ezrahyta uczył mnie swej mądrości — pytałam napróżno......

Naokół mnie pustynia, pustynia we mnie rośnie — boję się! — Ciemność, głęboka ciemność naokół — i tam po drugiej stronie życia... Wszakżeś ty mędrcem! i niema równego Ci w sławie — przed oczyma twemi niema zasłony. Patrz, jam u nóg twoich, zdejm bielmo z mych oczu... wskaż mi prawdę!

Objęła ramionami kolana królewskie, kornie schyliła głowę.

Czy Bóg, któremu wybudowałeś świątynię — Jehowah — jest wielkim?... czy jest prawdziwym?... czy jest... — pytała ochrypłym głosem, wskazując ręką olbrzymią, ciemną sylwetę świątyni.

Zgorączkowanemi oczami zawisła u ust Salomona — czekała.

Salomon milczał.

— Czy jest?!... — powtórzyła drżąc.

— Siostro moja... siostro moja... — rzekł z litością Salomon podnosząc ją z ziemi.

— Więc nic, więc nic — krzyknęła z rozpaczą; wyrwała mu ręce i zatopiła swe długie, cudne palce w gęstwie rozwianych włosów, plecami przywarła do zimnej, kamiennej ściany, jej oczy, oczy gorejące paliły spojrzeniem mędrca.

— Więc nic — rzekła po chwili, wolno, bardzo wolno, dzieląc każdy wyraz na sylaby — i wszystko jest jeno marność... marność... marność...

— Ty rzekłaś o siostro moja... wszystko jest jeno Marność — rzekł Salomon.

Objęci nocą i ciszą długą chwilę stali naprzeciw siebie; Salomon chciał coś rzec jeszcze, królewskim ruchem nakazała mu milczenie.

— Wiem cobyś mi mógł powiedzieć jeszcze — rzekła uśmiechając się wzgardliwie i gorzko — wszak i ja stawiałam bogom świątynie.

Pchnęła oburącz drzwi prowadzące do komnat królewskich i wstąpiła w nie pierwsza.

ŚWIĘTA

Dziedziniec klasztoru S. Maria della Rosa pod Sieną jest jakoby bezcennym klejnotem, wprawionym w mury starego, romańskiego zamczyska. Zamek ten, jak niesie tradycya klasztorna, zbudował około roku 1140 Ludovico Ospeletti, szlachcic ze Sieny. Ród Ospelettich wymarł na prawnuczce Ludovica, Monnie Francesce, pierwszej ksieni w klasztorze S. Maria della Rosa, która też zamek Ospelettich kazała przerobić na klasztor. Działo się to prawdopodobnie pod sam koniec XII wieku. Wtedy to przybudowano do wschodniej ściany zamku ów przedziwny, mroczny kościółek, ozdobiony później freskami przez Tomassa Giottina i Cimabuego, i mozaikami Filipa Rusutiego, jednego z najczystszych i najsłodszych artystów średniowiecza. Tutaj to, na jednej ze ścian, Andreo Taffi wyczarował z złotego tła swoją Madonnę z dzieciątkiem, która potem zasłynęła łaskami i której boski, zwiewny kształt okryła ciężka, niekształtna sukienka ze srebra i drogich kamieni, dar wiernych.

Twórca dziedzińca pozostał nieznanym — trudno nawet oznaczyć kiedy dziedziniec ów został wykoń-

czony, zda się jednak, że stało się to przed końcem XIII wieku, który pod czyste niebo Italii przywiał z chmurnej północy ostrołuk i strzeliste formy gotyku. Cudny ów dziedziniec, przypominający nieco dziedziniec przy klasztorze św. Pawła w Rzymie, tworzy regularny czworobok ocieniony arkadami, wśród których przedziwnie lekkie kolumny, umieszczone parami, dźwigają na zdobnych kapitelach, połączonych wspólnym, górnym gzymsem, półkoliste, bogato wewnątrz zdobione, jeszcze klasycznym duchem tchnące łuki. Powyżej architraw misterny i spokojny w linii; fryz bogaty, kipiący radosną i naiwną fantazyą wieków średnich, kamienny las drzew i kwiatów nieznanych i wplecione weń zwierzęta-chimery: skrzydlate lwy i ptaki o psich i ludzkich twarzach, dziwaczne aniołki i srożące się gryfy i hydry, trójgłowe potwory i krzywiące się ohydnie maski wśród rojowiska węży i jaszczurów.

Od arkad aż ku środkowi dziedzińca, po marmurowych, startych płytach wydłużone ścielą się, drżą cienie. Pośrodku stara, kamienna studnia zgubiona prawie pod gęstem listowiem rozrosłych nadmiernie krzewów różanych... Od wieków kwitną tu one purpurowym, drobnym kwiatem; jako niezgasła nigdy woń, przedziwna oplata je legenda. Drżące ręce mniszki starają się napróżno odsunąć ociernione gałęzie, byśmy ujrzeć mogli, na zewnętrznem cembrowaniu studni, błogosławioną twarz Jana Baptysty i dobrego Pasterza, pojącego owce u źródła, rzeźby Jakóba della Quercia — stare usta dziwną szepcą opowieść:

......i stało się, iż Vittorina Trani, dziewica piękna i cnotliwa, przyrzeczona w małżeństwo pewnemu bogatemu szlachcicowi ze Sieny, jadąc w gronie rodziny, służebnych i grajków z rodzinnej Florencyi do domu przyszłego małżonka, napotkała na drodze swej rozkładające się już zwłoki młodzianka cudnej urody, snadź zabitego i porzuconego przez zbirów. Jakoż uderzona nagle światłem bożem, zsiadła z konia i zdjąwszy z siebie kosztowne szaty, bosa, w gieźle jeno, głucha na perswazye i łzy rodziców i otoczenia, płacząc gorżko szła dalej drogą ku Sienie.

Snadź wola Boża kierowała jej krokami, pod wieczór bowiem stanęła u wrót klasztoru S. Maria della Rosa, który zwał się podówczas klasztorem Wniebowzięcia. Tutaj to zapukawszy do furty klasztornej, padła do nóg rodzicom, prosząc o błogosławieństwo. Ale ojciec jej, który był znanym gwałtownikiem, począł obrzucać ją obelżywemi słowy i chciał ją brać mocą. Zaledwie jednak położył ręce na jej ramionach, by ją podźwignąć w górę, z głuchym łoskotem pękły żelazne wrzeciądze i ozwarły się szeroko bramy klasztorne, których o tej porze nikt nie pilnował, ukazując mroczną głąb korytarzy. Wtedy zatrwożyli się i jakoby skamienieli w przerażeniu wszyscy, a Vittorina podniósłszy się z ziemi, przestąpiła próg klasztorny. Cicho zawarły się za nią żelazem kute bramy, cicho wstąpiła w grób, by się narodzić dla Wieczności.

Dwadzieścia lat przeżyła Vittorina Trani w klasztorze Wniebowzięcia, w ciężkiej pracy i pokucie, pełniąc najniższe i najcięższe posługi, a była najcichszą

i najpokorniejszą z służek klasztornych; nie składała jednak ślubów zakonnych, nie czując się ich godną. A gdy po latach dwudziestu przyjęła je wreszcie, obok zwykłych, potrójnych ślubów: posłuszeństwa, czystości i ubóstwa, złożyła dobrowolny ślub dozgonnego milczenia i zachowywała go skwapliwie aż do śmierci. Nikt już i nigdy, przez te ostatnie trzynaście lat jej życia, nie usłyszał jej głosu, ni szeptu modlitwy nawet — jeno łzy płynące obficie po jej twarzy w godzinie rozmyślania, jeno oczy gorejące lub omdlałe w zachwyceniu, jeno dreszcze co szły wzdłuż jej krzyżów i jako wicher wstrząsały jej słabem ciałem i często rzucały ją o ziemię, nieprzytomną, sztywną, wskazywały wewnętrzne wzburzenie, rozgorzałe płomię duszy spalonej od tęsknot i pragnień niebieskiej Miłości.

Nie imała się już teraz pracy; żyła w zupełnem odosobnieniu, w oderwaniu od sióstr, i wśród surowej ich reguły wzniosła tęsknotom swoim jakoby wieżę niebosiężną, na której szczycie trwała samotna, czysta i gorejąca, jako wieczna lampa, płonąca Chrystusowi na chwałę.

Co dnia, o świtaniu matka przełożona kładła u progu jej celi bochenek grubego chleba — i co dnia, o świtaniu, święta szła z dzbanem glinianym ku studni, by zaczerpnąć wody; prócz wody bowiem i onej skąpej racyi chleba przez te lat trzynaście usta jej nie tknęły innego pokarmu. I gdy tak szła popod arkadami dziedzińca, przez podworzec, bosa, w włosienicy na gołem ciele, z twarzą wtuloną w białe płótno zasłony, siostry zakonne wychodziły z cel, przyklękały

na jej drodze i chyliły głowy i choć oczy świętej przesuwały się po nich obojętne i chłodne i jakoby niewidzące, choć ręce jej nie podnosiły się do błogosławieństwa, wstawały lepsze i umocnione, pełne siły i głębokiej wewnętrznej radości.

I oto jednego dnia, a było to na kilka miesięcy przed śmiercią świętej, wyszła ona z celi swej nieco później jak zwykle i idąc przez dziedziniec zachwiała się. Przeto jedna z młodszych sióstr sądząc, iż jest chorą, podbiegła, by jej pomódz w czerpaniu wody. Święta jednak usunęła ją łagodnie i sama zapuściła wiadro w głąb studni. Wtedy nowicyuszka ujrzała na rękach jej krwawe, zaognione piętna i takież same na obu stopach jej bosych nóg. Gdy zaś święta zaczerpnąwszy wody, dźwignęła w górę ciężkie wiadro, rany jej rąk otworzyły się nagle i poczęły krwawić. Kilka kropel krwi spłynęło wzdłuż palców i wsiąkło w ziemię, tuż obok studni; i oto w miejscach tych zaraz puściły pędy różane — —

Wtedy mniszka, która widziała rany świętej i krew ciekącą z jej rąk, opowiedziała o tem przełożonej i zrozumiały obie, iż siostra ich obdarzoną została łaską stygmatów i wielbiły Chrystusa, który duszy jej okazał miłosierdzie. A gdy wkrótce potem święta umarła i znaleziono ją w celi martwą i zesztywniałą, rozciągniętą na garstce słomy u stóp wielkiego, wiszącego na ścianie krzyża — oznajmiły oną nowinę siostrom, aby radowały się w Panu. Tego też dnia zakwitły po raz pierwszy krzewy różane u studni i jakkolwiek wiele burz i stuleci przeszło nad nimi, a stara

studnia wyschła od dawna — w ramach cudnego dziedzińca kwitną po dziś dzień purpurowem kwieciem i wśród zielonych, drobnych liści płoną jako rany wiecznie otwarte, krwawiące.

Prochy Vittoriny Trani, w zakonie siostry Claryssy od krzyża, złożono popod kamienną posadzką, u stóp onego krzyża, w celi, którą, usunąwszy jedną ze ścian, połączono z kościołem i zamieniono w kaplicę pod wezwaniem tejże świętej. I nicbyśmy nie wiedzieli co czuła i cierpiała ta czysta i płomienna, zamknięta we wzniosłem Milczeniu dusza, gdyby nie pism jej ksiąg czworo, które po śmierci jej znaleziono w celi i które zamykają w sobie: przestrogi pobożne dla sióstr, modlitwy i rozmyślania, rozpamiętywania passyjne a także i około czterdziestu pieśni, z których kilka podajemy w przekładzie polskim.

SIOSTRY CLARYSSY OD KRZYŻA

Z ZAKONU S. S. FRANCISZKANEK

PIEŚŃ WTÓRA.

Radujmy się o siostry moje w Panu — albowiem okazał miłosierdzie słudze swojej.

Ku sercu swemu podniósł ją i ogrzał Miłością.

Jakże lekkimi stały się krzyże jej — i cierpienia — i ciernie jej dróg.

Jakoby skrzydła trysły jej u ramion, o siostry moje — i jakoby dosięgła już Bram.

O bramy niebieskie otwórzcie się — bramy Światłości i Pokoju.

Widziałam, o siostry moje, Pana, gdy szedł ku mnie przez snopy światłości, poprzez łąki ukwiecone...

Oblicze jego było jako oblicze słońca — a błysk oczu jego jako promieniste strzały.

Lędźwie jego opasane były przepaską ze złotogłowiu — a lekkie stopy jego były jako hyacenty wiosenne.

Widziałam siostry moje Pana i piłam u jego ust.

Włożył krzyż swój na ramiona moje — o siostry — na ramiona moje dygocące od łkań.

Pozdrowiony bądź krzyżu święty i wy ciernie dalekich dróg — i wy drogi wiodące do Bram.

Pozdrowione bądźcie ręce omdlałe i wy oczy oślepłe od łez — i ty serce zamarłe od trwóg.

Pozdrowione bądźcie ciemne noce tęsknoty, noce zimne i długie — noce oczekiwania.

I ty dniu wschodzący krwawo, dniu pokuty.

Widziałam źródło wody żywej — o siostry moje, wody żywota, tryskające ze skał.

Widziałam obłok świetlisty, chylący się nad ziemią.

Krzyżu święty, obciąż ramiona moje; krzyżu ciężki drzyj ciało moje w strzępy, bym czuła ciepłą, lepką krew, płynącą wzdłuż pleców moich; krzyżu umiłowany, przygnieć mnie.

Jako ogień stała się tęsknota moja, jako ogień Oswobodziciel.

Puść duszę moją o Panie, na skrzydłach tęsknoty, w podniebny, wielki lot.

Jestem jako owca odbita od stada — a imię moje jest: Milczenie.

Ty, który jesteś światłością — oświeć mnie!

Błądzę w Ciemności; okrutny, zimny strach kładzie na gardle mem palce.

W piersi mej kołace się Żal — w oddali płacze ktoś nademną, ktoś blizki — daleki.

Wstaje zła myśl i jako pierścienie węża opasuje me czoło.

Lśnią się łuski jej — i srebrzą się i mienią — zdaje się być piękna jak Prawda...

Tyś! Tyś jest Prawdą, Panie mój! niemasz nad Ciebie!

Tyś jest Światłością! — poza Tobą wszystko jest mrokiem grobu.

Tyś jest szczęściem! — poza Tobą wszystko jest niedolą.

Tyś jest Słowem! — poza Tobą wszystko jest milczeniem.

Milczenie w Tobie jest radością, jest zachwyconym śpiewem Duszy, jest wołaniem w niebiosy.

Panie mój — panie mój — oto idę k'tobie. Tyś jest — poza Tobą wszystko jest złudzeniem.

. . . .

. . . .

Radujmy się o siostry moje w Panu, albowiem okazał miłosierdzie służebnicy swojej. Ku sercu swemu podniósł ją i ogrzał Miłością.

Usta jej uzbroił w Milczenie i rozśpiewała się Dusza jej w Panu.

Kędyś jest Ty, którego umiłowałam sercem czystem!

Wołanie moje jest jako krzyk ptaka po nocy — krzyk ptaka wypłoszonego z gniazda.

Upadam pod brzemionem trwóg.

Boże! Boże!

Oczy moje oślepły od łez, ramiona objął żar, zeschły i zwarły się wargi.

Boże mój dlaczegoś mnie opuścił!

Na sercu mojem wypaliłeś znamię Miłości — serce moje płonie!

Tęsknię i trwożę się.

Co dnia szłam k'tobie jako łania spragniona do źródła, co dnia poiłam do syta Duszę.

Dziś wyschło źródło twych łask, rozpętała się moc Zła nademną.

Wołam Cię — pragnę...

Boże mój zdejm z nóg mych okowy Niedoli i sercu memu daj Siłę.

Niechaj czekam cierpliwie, w milczeniu i niechaj cierpienie me stanie mi się miłem.

Niechaj stopom moim miłymi się staną rozgorzałe piaski pustynne, które przebiegam napróżno szukając Źródła.

Niechaj umierającym mym ustom miłą i ożywczą stanie się sucha, rozpalona skała.

Podejmę szczęsna każdy trud, abyś Ty jeno był ze mną...

Dlaczegożeś mnie opuścił!

Oto dni moje są jako noce, a noce jako burze, ciężkie od łez.

Tęsknota serca mego jest jako żrący kwas na Duszy mojej, zbolałej od ran.

Ty, który miłujesz najnędzniejszego robaka, pełzającego śród traw, wejrzyj na moją tęsknotę.

Boże mój! Boże! czemużeś mnie opuścił?!

. . . .

. . . .

PIEŚŃ ÓSMA

CIERPIENIE CHWALĄCA.

Błogosławione bądź Cierpienie i wy łzy z oczu płynące — łzy gorżkie.

Albowiem nic przez radość i używanie—a wszystko przez ból, co się pełni ku szczęśliwości Duszy.

Duszo dostojna w cierpieniu — nizka w używaniu — Duszo ludzka.

O łzy gorżkie! łzy przenajsłodsze, źródła czyste.

Stałaś się jako miłośnica wierna, Duszo, idziesz śladami Pana.

O Radości cierpienia! — Radości doskonała.

Więcej łez panie! więcej cierni, więcej krzyżów, więcej bolów palących, więcej ran!

Pragnę Cię! o Cierpienie Wielkie, Ustawiczne, ty które wywiedziesz mnie z Małości.

Tyżeś jest Dobro — w tobie Nadzieja.

Jakże tchórzliwe jest serce ludzkie, iż lęka się Cierpienia, jakże przyziemnym, nędznym robakiem jest ten, który maluczko a stanie się pastwą robactwa.

Nienawidzę Cię Ciało — ohydny strzępie; Ty, które więzisz Duszę.

Szato plugawa — szato nierządna, naczynie wszeteczeństwa.

Niechaj Cię pali biczownica i świerzbiący okryje wrzód, niechaj ciecze ta krew, gorąca krew zwierzęcia.

Jakożeś niebezpieczne, a czujne, a głodne, i wtedy kiedy krzyczysz i wtedy kiedy śpisz.

Niema dość twardego snu na Cię, byś nie wstało za pierwszym głosem krwi.

Jeno Cierpienie, długotrwałe Cierpienie, zmoże Cię i rzuci w proch.

Tam, w prochu, przed obliczem Przedwiecznego miejsce twe — —

W proch się obrócisz — prochem jesteś, zapalonym ręką szatana.

Więcej cierpienia Panie mój! więcej męki! więcej krzyżów! więcej łez!

Pozdrowiona bądź twarda łożnico u stóp krzyża — i ty chciwe pragnienie spalonych ust — i ty głodzie wnętrzności.

Pozdrowione bądź zimno przejmujące do szpiku kości — i ty wilgoci kamiennych ścian; pozdrowiony bądź mroku i samotności.

Pozdrowione bądźcie choroby i wy trwogi bijące w Duszę i wy żrące tęsknoty na polu Śmierci.

Polem Śmierci jest Życie — omamieni przez szatana są Ci, którzy widzą na niem kwiaty.

Niema nic ponad Boga i jeno w Bogu wszystko jest.

Niema nic nad Cierpienie — i jeno w Panu Pokój jest i Radość dostojna.

Złudzeniem jest wszystko, co nas otacza — i wszystko, co nas otacza, jest dziełem Szatana.

Albowiem dziełem Szatana jest Grzech — a Grzech panuje światu.

Dziełem Bożem jest Miłość — zapomnieliśmy miłowania.

O jakoże wejrzysz na nas Światłości — jakoże nam przebaczysz!

Rodzimy się obciążeni — chuć rodziców naszych jest w nas.

Rodzimy się występni — występki całych pokoleń są w nas.

Żyjemy ciemni — szatan rozniecił w nas ognie fałszywe i uczy nas wiadomości Dobrego i Złego.

Szatana dziełem jesteśmy, choć stworzył nas Pan.

Tedy zeszedłeś o Jezu — Odkupicielu — bolesna ofiaro krwi.

O Jezu cierpiący!

Jezu walczący z szatanem!

Jezu umierający na krzyżu.

Nieprawości nasze stały się jako wody bezmiernych mórz — jako światło słoneczne objęła je litość Twa.

O Jezu zwyciężający przez Cierpienie i Śmierć.

. . . .

Rozpamiętujmy, Siostry, mękę Pana naszego — do stołu pańskiego wzywam was — do świętowania wieczystego.

. . . .

Uciszcie się siostry moje — i ty serce spalone od łez — oto chóry anielskie wstają przed Panem.

. . . .

. . . .

PIEŚŃ TRZYDZIESTA I CZWARTA
O ŚMIERCI.

Uciszyła się Dusza moja — wypaliła się w sercu mojem Tęsknota.

Miłowanie moje stało się jako szeroka, czysta rzeka, płynąca cicho po bezmiernej równinie.

Czas mi już Panie mój — czas mi już.

Rozwiąż nogi moje, o Panie — puść sługę swą z domu Niewoli!

Stało się — wypełniła się Wola Twoja nademną.

Uciszyła się Dusza moja — stanęłam u bram Szczęśliwości.

Tyżeś jest ze mną, o Boże mój! — Tyżeś jest we mnie!

Pozdrowieni bądźcie ptaszkowie, którzy czepiacie się nożętami krat mojej celi i śpiewacie chwałę Panu.

Pozdrowieni bądźcie wysłannicy wiosny — wiosny, która już idzie polami.

Pozdrowieni bądźcie posłannicy słodkiej Śmierci, która już idzie ku mnie.

Wiemci ja...

Czekałam na cię siostro moja, czekałam długie, długie lata — podejdź ku mnie, nie zwlekaj.

Zamknij oczy moje i serce moje zamień w kawał lodu.

Ach! ileż wycierpiało to serce, jakimże gorzało ogniem...

Uciszyła się Dusza moja i odpoczęła w Panu. Uciszyła się dusza moja — chwalmy Pana i śpiewajmy mu pieśni.

Jakież słowa wypowiedzą Dobroć Twoją i Wielkość i Łaskę.

Ach jako brzęczące mętnie cymbały są wszelkie słowa i jako złota moneta rozmieniona na drobne są wyrazy, tłumacze Czucia.

I wszystko jest znikome, małe, nizkie i zimne.

Złudzeniem jest żywot człowieczy.

Odpocznienie jest w Panu.

Cicho, cicho szum wietrze daleki nad równinami Życia — szumie skrzydeł anielskich.

W tobie jest moc wydźwignięcia Duszy.

O spoczynku na łące wiecznej —

Przyjdź śmierci — radosna kochanko tych, co cierpią.

Czekam cię, słodka...

Jakże łagodne są ręce twoje i jako jesteś piękna, kochanko konających dni.

Jakże jesteś litosna w uśmiechu twym, co wszystko tłumaczy.

Jakoże dobra jesteś, Ciszo wieczna.

Odpocznięcie jest w Śmierci.

. . . .

Radujmy się w Panu, iż rozwiązał ręce moje i nogi moje spętane niewolą.

Niewolą jest bytowanie na ziemi.

Niewolą jest Młodość i Piękność.

Niewolą jest Siła.

Pozdrowieni bądźcie nieważcy ptaszkowie, bujający na gałęziach rozkwitłych jabłoni, śpiewakowie niestrudzeni, mili w Panu.

Pozdrowione bądźcie jabłonie kwitnące i wiśnie i migdały i wy leluje i trawy wiosenne.

Pozdrowiona bądź wonna Wiosno u progu mej celi.

Oto się pełni mój los.

. . . .

Spełnił się Cud nad służebnicą Pańską — Halleluja!

Ręce jej i nogi przebodły niewidzialne miecze, ogniste miecze Miłości Pańskiej. Halleluja!

Łaska Pana ozwarła i okrwawiła jej bok.

Śpiewaj Duszo!

. . . .

Zamilknij — i wy zmilknijcie śpiewakowie leśni, których nie kazi Myśl, dar Szatana.

Matko świętych, Pokoro, osłoń mnie; radowanie moje przemień w łzy.

Niegodnam Panie — po trzykroć niegodnam — w obliczu nieprawości moich kajam się.

Jakoże czoło to ma spływać potem i krwią pod niewidzialną koroną łaski — czoło, które kryło tyle myśli grzesznych.

Miłosierdzie Twe Panie wielkie jest i wielka jest twa Moc.

Ponad wszystką ziemią wisi Zmiłowanie Twe jako kula ognista, płomienna.

Tyżeś jest słońcem ziemi — Tyś jest!

Mąci się myśl...

Widzę chóry anielskie, wstępujące w niebiosy — widzę Jezusa w chwale po prawicy Boga Ojca...

Obłok świetlisty słoni mi oczy.

Nie godnam.

Widzę znów — widzę kwiaty przedziwne na łące dalekiej i strumienie jako wstęgi srebrzyste wijące się wśród traw.

Widzę drogę w obramowaniu ciemnych cyprysów, drogę stromą, mozolną, opierającą się o strop.

Jestże to droga Życia — czy Śmierci?!

Nadpływa obłok świetlisty — niesie grom.

Czego się lękasz Duszo moja — czemu się trwożysz...

Jako deszcz ognisty, tysiączne, złote strzały przecinają z sykiem powietrze, godzą w mą pierś.

O nadludzka Rozkoszy! O niepojęta Siło! O nawiedzenie! O szczęsne, niepojęte Cierpienie!

Tyżeś to Śmierci?!

. . . .

Jako zwiotczałe łachmany stają się ręce moje i nogi moje tracą siłę — jako podcięte drzewo kłoni się ciało moje w proch.

Przyjdź dobra Śmierci.

GENTILDONNA

Około roku pańskiego 1535, żył we Florencyi, na dworze księcia Aleksandra Medyceusza, rzeźbiarz imieniem Mikołaj Raffael de Pericoli, znany ogólniej pod żartobliwem przezwiskiem Tribolo (żałobnik).

Z rodu Florentczyk, uczeń słynnego Sansovina, sam rzeźbiarz wielkiej sławy, ceniony był wysoko i lubiony tak na dworze jak i w całej Florencyi dla swego talentu i nader zacnych a dwornych obyczajów, a także dla niefrasobliwej, zawsze młodej i bujnej wesołości, którą wszystkich ku sobie niewolił.

Zdarzyło się, iż w owym czasie przybył z Rzymu do Florencyi mistrz Benvenuto Cellini, mąż wielkiego talentu i ciężkiej ręki, którego niesnaski z papieżem Pawłem III, a raczej z synem tegoż Piotrem Ludwikiem Farnese, zmusiły szukać opieki i pracy na dworze Aleksandra.

Książę przyjął zbiega życzliwie, obdarował na wstępie większą sumą skudów i zamówiwszy u niego rozliczne prace z działu rytownictwa, pomieścił między swe dworzany i słynne męże, którymi roił się podówczas dwór Medyceusza. W czasie jednej z uczt, gdy

książę rozochocony winem i dowcipami miłego mu Tribola począł talent tegoż wychwalać i rzekł: „iż posągi, które Tribolo wykonał, nie ustępują w piękności starożytnym“, zazdrosny i porywczy Benvenuto zawołał: że nie można ich nawet porównywać ze starożytnymi, do których się tak mają, jak misa gliniana dziewki kuchennej do ozdobnej misy szczerozłotej, jaką był wykonał niedawno dla kardynała Cornaro.

Słysząc to książę w jednej chwili tak zmienił się na twarzy, iż ci, co znali go bliżej, sądzili że życie butnego złotnika wisi na włosku: że jednak był to pan wielce chytry i władny sobą i wielce na rzeczy sztuki łakomy i że zrozumiał, iż z takowej sprzeczki i współzawodnictwa dwóch sławnych mężów wielka rzecz urość może, opamiętał się zaraz i wbrew oczekiwaniom biesiadników zwrócił się uprzejmie do Benvenuta, a topiąc swe jasne i zimne jak dwa ostrza sztyletów oczy w rozpalonej, wzburzonej twarzy złotnika, rzekł bardzo wolno:

— Zaprawdę Benvenuto rzekliście słowa zuchwałe, które trudniej byłoby poprzeć czynem, gdyż wątpię, czy zdołalibyście wykonać rzecz tak piękną, jak pięknym jest posąg Junony wykonany przez Tribola, jakkolwiek, wedle waszego zdania, wartością nie wiela on musi przewyższać misę glinianą, na której dziewki kuchenne zwykły dawać psom posiłek.

— Mości Książę — rzekł chełpliwie Benvenuto — daję życie w zakład, iż do dnia 15-go września, a więc od dziś za pięć miesięcy, wykończę w bronzie posąg

tak piękny, iż żadną miarą nie da się on odróżnić od starożytnych — i proszę Was o danie mi tematu.

— A! — rzekł niedbale książę, czem bardziej jeszcze podniecił Benvenuta — chcę wierzyć że będzie pięknym ów posąg jako go sami już naprzód chwalicie, jakkolwiek przezpieczniej nie łowić ryb przed niewodem... jeśli zaś nasz biedny Tribolo ośmielił się wykonać Junonę, Wam jako zdolniejszemu od niego należy się temat i piękniejszy i trudniejszy zarazem i zechcecie nam uczynić boską Afrodytę, panią życia — przyczem nie zapominajcie, że chodzi tu rzeczywiście o Wasze życie — dokończył książę ze złowrogim uśmiechem.

Próżno dobry Tribolo starał się w żart obrócić całą tę sprawę, Pan aż do końca uczty pozostał chmurny i milczący, zaczem i uczta prędko i niewesoło się skończyła; poczem książę oddalił się zaraz do siebie aby tam w zaciszu i samotności swych komnat dać folgę swemu gniewowi i przyrodzonej gwałtowności, która go wprost dusiła i nad którą nad wyraz ciężko mu było panować.

Że zaś nazajutrz pokojowcy znaleźli w miał strzaskane cenne wazy etruskie, które zdobiły sypialnię księcia, stawiano stąd złe horoskopy dla Benvenuta i spodziewano się na dworze, że cała ta sprawa nader smutnie się skończy, książę bowiem w równej mierze był dumny jak okrutny i mściwy.

Benvenuto też powrócił do swej pracowni przy via dei Servi w nienajlepszym humorze. Gdy ochłonął z pierwszego uniesienia zrozumiał, że porwał się znów

na rzecz szaloną, tem więcej, iż rozsławiony już szeroko jako złotnik, cyzelator i rytownik, rzeźbiarzem był początkującym i idąc za radą Michała Anioła Buonarotti wykonał był dotąd zaledwie parę mniejszych posążków bronzowych, które tak on sam jak i wielki jego nauczyciel i doradca uważali za dalekie od doskonałości. Pierwszą więc jego myślą była nowa ucieczka, tym razem z Florencyi, i namyślał się przez chwilę, czy uciekać do Ferrary, kędy wspaniałomyślny Alfons d'Este popierał i wspomagał hojnie artystów, czy też schronić się do Francyi pod opiekuńcze i możne skrzydła Franciszka I.

Gdy jednak zastanowił się głębiej nad całą tą sprawą i gdy zrozumiał, że ucieczka przedsiębrana w podobnych warunkach mogłaby zniweczyć jego dobrą sławę artysty, posądzonoby go bowiem niechybnie o to, że lęka się stanąć w zawody z Tribolem, zuchwały i ambitny nad wyraz Cellini, postanowił bądź co bądź pozostać, wziąć się do pracy i albo zginąć albo stworzyć wielkie dzieło. Zaraz też odpowiednio urządził pracownię i przygotował konew przedniej gliny do modelowania, że zaś służebna jego i modelka zarazem, którą był sobie przywiózł z Rzymu nie wydała mu się dość piękną do tak znamienitego dzieła, począł szukać za inną, której kształt odpowiadałby lepiej wymarzonej przez niego postaci Afrodyty. Rozbijał się tedy po całej Florencyi szukając daremno, tracąc ostatnie skudy na piękne ówczesne kurtyzany, zaczepiając co piękniejsze dziewczęta i kobiety z ludu i mieszczaństwa, co go jeno doprowadziło do licznych

zwad i rozpraw na miecze i o mało nie osadziło w więzieniu przy Porta San Friano.

Gdy zaś upływały w ten sposób tygodnie a „piękna“ nie została odnalezioną, Benvenuto jak wszyscy zresztą ludzie jego usposobienia, z najróżowszej nadziei wpadł odrazu w najczarniejszą rozpacz, zwątpił o sobie, stracił nagle całą energię i siłę woli i zdawszy los swój na wolę gwiazd w zupełnej pogrążył się bezczynności i apatyi.

Mieszkała podówczas na onejże ulicy dei Servi, w starożytnym pałacu Soderinich, Madonna Elżbieta wdowa po Askaniuszu Soderinim, krewnym cnej pamięci gonfaloniera Piotra, który po wypędzeniu Medyceuszów w 1494 roku, sprawował był rządy Florencyi. Pani ta, pochodząca z szlachetnego domu Morosinich z Padwy, słynęła szeroko z głębokiej swej uczoności i dobroci a także i z tego, że była matką siedmiu najpiękniejszych w Florencyi kobiet. W czasach, o których jest mowa, pięć starszych oddane już były w małżeństwo najprzedniejszym patrycyuszom florenckim, o dwie najmłodsze ubiegali się co znamienitsi kawalerowie ówcześni. Zwłaszcza najmłodsza z sióstr Soderini, Ginevra, cudną swą postacią i iście anielskim głosem a także mistrzowską grą na lutni zachwycała współczesnych. Panie te zażywały w Florencyi jak najlepszej sławy i wielkiego poważania i jakkolwiek ze względu na tradycyę rodzinną trzymały się zdala od dworu, mając licznych przyjaciół wśród dworzan i artystów florenckich a także ciesząc się sympatyą księżny Małgorzaty austryackiej niecał-

kiem obojętne były na to, co się działo w domu Medyceuszów.

Nieszczęsna i głośna sprawa Benvenuta Celliniego doszła wnet ich uszu i tem większe wzbudziła w nich zainteresowanie, że Madonna Elżbieta znała niegdyś ojca Benvenuta, mistrza Jana, i że tenże wyświadczył jej był swego czasu pewną, znaczną przysługę. Zaprosiła tedy Celliniego w dom swój, a gdy ujęty jej życzliwością zwierzył jej swą troskę, obiecała mu łaskawie dopomódz w wyszukaniu modelki, którąby odpowiadała wymaganiom tak wielkiego mistrza.

Gdy zaś pierwszy miesiąc dobiegał już ku końcowi i gdy Benvenuto zupełnie już zniechęcony (pokruszył był bowiem przez ten czas już kilka pozaczynanych modeli i przepędził sromotnie coś z dziesięć modelek) oddawał się rozpaczy, która przy jego namiętnym temperamencie miała wszelkie oznaki szaleństwa; pewnego rana stanęła przed nim piękna Ginevra Soderini w towarzystwie starej, oddanej ich domowi służącej i zdziwionemu temi odwiedzinami rzeźbiarzowi rzekła z prostotą:

— Mistrzu Cellini, przyszłam do waszej pracowni aby wam służyć za model.

Gdy zaś Benvenuto nie znalazł w pierwszej chwili słowa odpowiedzi, dodała poważnie:

— Chodzi tu bowiem rzeczywiście o wasze życie, sądzę zaś że stworzycie jeszcze wiele dzieł pięknych.

— Zacna panienko — rzekł Cellini gdy ochłonął nieco z pierwszego wrażenia — chodzi tu o coś więcej

jak o moje życie, chodzi tu bowiem o moją sławę i honor — czy jednak matka wasza wie o waszem postanowieniu? — za nic bowiem nie chciałbym uczynić nic takiego, coby mogło boleśnie dotknąć tę szlachetną damę.

— Tak mistrzu — rzekła Ginevra — albowiem nic i nigdy nie czyniłabym bez jej wiedzy; jest ona równie mądra jak szlachetna i nic nieprzystojnego nie może być w tem co uzyska jej przyzwolenie.

— Panienko — rzekł Benvenuto drżąc, albowiem widząc jak doskonale jest piękną, lękał się ją utracić — czy wiecie jednak, że musicie stanąć przedemną całkiem nagą — czy nie będziecie się sromać?...

— Nie — odpowiedziała Ginevra poważnie — jestem na to dość czystą.

Wtedy spojrzawszy w jej oczy spokojne i słodkie, na tę twarz młodocianej madonny i dumne czoło pod chmurą włosów złocistych, Benvenuto ów znany rozpustnik i szyderca wieku, ukląkł przed nią jak przed świętą i ucałował pokornie jej nogi.

Z pomocą starej sługi zwlokła Ginevra szaty i naga wstąpiła na ruchome podium w chwale swej nadziemskiej piękności.

. . . . , ...

Tak to powstało jedno z najpiękniejszych dzieł Odrodzenia, które sławetna szkoła florencka uczciła wielką liczbą sonetów i które Aleksander Medyceusz kupił na wagę złota od mistrza, przywróciwszy go już poprzednio, zaraz po obejrzeniu modelu, do łaski. Co zaś do późniejszych losów tego arcydzieła, to we-

dle zapisków Vasariego zostało ono zniszczone w zamieszkach politycznych powstałych po śmierci księcia Aleksandra, wedle innych, zostało uwiezione i sprzedane do Francyi jako rzeźba starożytna, za jaką dotąd w muzeum „Louvru“ uchodzi.

Imię zaś pięknej Ginevry Soderini, zamężnej Cybò, powtarza się często w poezyach z czasów Kosmy I, gdzie zwą ją „najszlachetniejszą“ z pięknych cór Florencyi.

ODKRYWCY NOWYCH DROG

Leonowi Łuskinie.

W pięknem i słynnem mieście greckiem Efezie żył około 356 roku przed Chrystusem, pewien nikczemny szewc imieniem Herostratos. Zła jego sława przeszła jak wiadomo do historyi, o czem zresztą jest obowiązany wiedzieć każdy uczeń klasycznego gimnazyum.

Żył tedy Herostratos jak się rzekło powyżej w pięknem mieście greckiem Efezie i naprawiał cierpliwie, przez lat czterdzieści i cztery, stare sandały mniej zamożnym Efezejczykom. Nie można także powiedzieć, aby się nim szczególnie łaskawie opiekowali bogowie, żył bowiem zawsze w wielkiej nędzy i poniżeniu; że zaś wiadomem jest ogólnie, iż „bogowie nagradzają dobrych a karzą złych" — należałoby wnosić, że Herostratos był złym, co też późniejszy jego czyn w zupełności potwierdził.

Gdyby zaś kto był ciekawym, jak bardzo podłym i nikczemnym był Herostratos, powinienby był zasięgnąć bliższych informacyi u małżonki tegoż, pobożnej i wymownej Heleny, kretenki rodem, która

sprzedawała prażony bób, oliwki i owoce u bram Świątyni.

Żałować należy ze względu na historyę, że współcześni nie zajęli się tą kobietą, która jakkolwiek postacią swą zupełnie nie potwierdzała teoryi pewnego niemieckiego profesora, że: „jończycy przedziwną wytworność i lekkość swego stylu zawdzięczają kobietom jońskim — i że na ich to smukłych kształtach wzorowali kształt swej kolumny" — i który napisał o tem obszerne dzieło (objętości 1,655 stronnic druku in 4-o) — była jednak chodzącą kroniką i to kroniką skandaliczną swego miasta, co nawet byłoby prawdopodobnie wpłynęło na wzmożenie się pilności i zamiłowania do historyi u uczniów szkół średnich. Że jednak to jedyne i nieporównane „źródło" jest niestety jakoby zamkniętem dla nas, a bliższe szczegóły z życia Herostratosa są nam również nieznane (co zawdzięczamy nagannej opieszałości współczesnych) — musimy się ograniczyć do przedstawienia samego faktu takim, jakim go zostawiły nam luźne i suche zapiski Theopompa, historyka helleńskiego, a także pewne notatki Heroona, obrońcy Herostratosa, który usiłował dowieść, że Herostratos czyn swój popełnił w napadzie nagłego szaleństwa, spowodowanego nędzą i nieszczęśliwem pożyciem małżeńskiem; czemu jednak mądrzy i roztropni sędziowie efezcy nie dali wiary, wiadomem jest bowiem, że wszelcy adwokaci w obronie swych klientów często rozmijają się z prawdą, co zresztą zeznania, jakie złożył na torturach Horostratos aż zbyt jasno udowodniły.

Przez wiele tedy lat żył Herostratos w ciemnej i wilgotnej norze, którą zwał warsztatem i milcząc naprawiał stare sandały mieszkańcom Efezu. Milczał, raz, że z natury był małomówny, powtóre, że był prawie zawsze samotny, nie miał czeladzi ni nawet chłopca do pomocy, żaden bowiem szanujący się (a któż i kiedy nie miał się za szanownego?) obywatel efezki, nie oddałby był syna swego na naukę do człowieka, który był tak biednym — a więc i głupim (mądrzy ludzie bowiem wnet przychodzą do majątku i znaczenia) i o którym nie wspominano inaczej jak z wzgardliwem odęciem warg (jeżeli wspominano wogóle).

Gdy zaś pod wieczór pani Helena wracała do domu, nietylko cichy Herostratos ale i nikt inny nie ośmieliłby się wtrącić słowa w wrący potok jej słów, którym dopiero dobroczynny sen kładł tamę.

Pracował tedy Herostratos, milczał i myślał przez długie, długie lata. Cierpliwie znosił głód i wzgardę ludzką. Przez małe okienko swej smrodliwej izby dobrotliwie patrzał na świat. Uczył się poznawać ludzi i miast nienawiści, czuł dla nich wielką, z każdym dniem wzrastającą litość. Jego zeschłe, zawiędłe usta opromieniał stale uśmiech, który brano za uśmiech idyoty; a gdy jeszcze jednego dnia, w rzadkim przypływie szczerości, zwierzył się jednemu ze swych klientów, że właściwie „żadną zbrodnią nie trzeba się brzydzić, a każdą usiłować zrozumieć“ — okrzyczano go za człowieka pozbawionego wszelkich zasad moralnych. On zaś uśmiechnąwszy się i temu, pracował dalej

u swego okienka, które mu niosło nieco światła i słońca i zgiełk gromad ludzkich, dom bowiem w którym mieszkał, leżał przy drodze do świątyni.

Przed oczyma więc Herostratosa bezustannie przeciągały nieprzeliczone rzesze pielgrzymów tak z całej Azyi mniejszej, wysp Jońskich i Grecyi, jak i z dalekiej Tracyi i Macedonii a nawet od granic Chaldei i Persyi i skalistych gór Kaukazu.

Objuczone wielbłądy, osły i muły niosły rozliczne dary dla bogini, a obok nich szli ludzie skupieni lub krzykliwi, aby pokłonić się boskiej Artemidzie i żebrać łask. Często na noszach niesiono chorych i prowadzono ślepców, których samo dotknięcie się zasłony w świątyni miało uzdrawiać. Szły kobiety niepłodne i te które gubiły płód — szły nierządnice i te niosły najdroższe i najobfitsze ofiary; z czasów poprzedzających bowiem panowanie greckie, na wybrzeżach Małej Azyi pozostał kult bogini Anahity, pokrewnej fenickiej Astarcie a utożsamionej przez Greków z helleńską Artemidą. Cały ten ruchomy potok ludzki piął się na wyżyny góry Prion, przepadał w ozwartych bramach świątyni — i oto z ulic miasta wylewał się znów następny, by płynąć tą samą drogą, do tego samego celu.

Przez lat czterdzieści i cztery patrzał Herostratos na te wędrówki ludów — nocami, gdy cały Efez spał nad piękną zatoką, uszu jego dochodziły ohydne wycia i śpiewy płynące z góry świętej, kędy święcono bachiczne Efezye, i tarzano się w winie i rozpuście — i jakie tam myśli lęgły się wtedy, pod jego łysą

czaszką, on sam wiedział tylko, nie posiadał zaś cennego kunsztu pisma, by módz je zanotować i w ten sposób przekazać potomnym. Musiały to być jednak myśli uporczywe i płomienne, bo z nich narodził się Czyn.

I przyszła noc (21-go lipca 356 roku przed Chrystusem) w której Herostratos korzystając z ciemności panujących jak zwykle na nowiu i mgły, która podniosła się z morza, wysunął się chyłkiem z domu, unosząc z sobą przygotowane poprzednio smolne pochodnie i spory zapas krzesiwa. Omijając starannie uczęszczany gościniec, obszedł górę Prion bocznemi ścieżkami, wdarł się na nią od strony zachodniej i stanął wkrótce pod tylną, dla utrudnionego dostępu nie strzeżoną wcale ścianą świątyni. Tutaj objął go lęk i odżyły w nim nagle wszystkie zabobony, wyssane z mlekiem matki, którym przeczyła trzeźwa myśl. Pomny na rozkrzewianą wśród ludu przepowiednię: „iż każdy, ktoby się ośmielił podnieść rękę na świątynię efezką padnie w tejże chwili rażony piorunem" — długo wahał się i walczył z sobą, zanim podłożył ogień. Gdy tenże objął wreszcie słabym płomieniem jeden węgieł świątyni, Herostratos wyczekiwał jeszcze gromu i była chwila, że prawie modlił się do Artemidy, aby okazała się Prawdą. Gdy jednak grom się nie zjawiał a noc była jako i przódy cicha i spokojna, uśmiechając się Herostratos począł rozdmuchiwać płomień w wielki ogień.

Szeroko zajaśniała łuna nad uśpionym Efezem, w świątyni wszczął się ruch i krzyki, wolno budziło się miasto.

Herostratos, uśmiechając się ciągle, zsunął się po nagiej ścianie góry i ukrył się w przydrożnych zaroślach.

. . . .

Cały Efez wyległ by ratować świątynię, gdy zaś ze względu na rozszerzający się z niepomierną siłą i szybkością ogień, uczynić się to nie dało, niespokojne, krzyczące tłumy obległy święte wzgórze, i jako fale morza w czasie przypływu, szumiały groźnie wzbierając i rosnąc z każdą chwilą. Z okolicznych wsi i miasteczek, z poblizkich wysp i pobrzeża, napływały bowiem coraz to nowe gromady ludzkie i słały się u stóp świątyni; a w górze nad niemi, jako olbrzymia hekatomba, płonął uświęcony przybytek Artemis.

Głuchy trzask łamiących się i padających ścian, syk płomieni, które obejmowały je i lizały ognistymi, chciwymi językami, wydzierał z piersi tłumu ryk wściekłości i żalu. Co śmielsi darli się w górę, by pod naporem nieznośnego gorąca i grozy niechybnej śmierci ustąpić. Kapłani, dziewice poświęcone bogini, niewolnice z świątyni, wpół-nadzy, nieprzytomni, uchodzili śpiesznie, porzucając nieprzebrane bogactwa na pastwę płomieni. Czerwone, krwawe światło łuny oblewało miasto, na morzu kładło się wydłużoną, jaskrawą smugą — w oddali, nad niezmiernemi równinami Małej Azyi wstawała Jutrzenka...

Nagle, tuż nad głowami tłumu, na zboczu góry zjawiła się postać ludzka — wyciągnęła przed się ramiona i poczęła wołać. W poblasku łuny czerwona

była i jakoby krwią oblana. Na zeschłym jej grzbiecie trzęsły się łachmany; naga czaszka, twarz sucha o ostrych ptasich rysach, chyliła się ku tłumowi. W niespokojnych, głęboko pod wydatnem czołem osadzonych oczach, drżały chwilami jakoby błyski lęku, chwilami gorzało upojenie.

Zabobonni Efezejczycy cofnęli się zrazu — niektórzy poznali jednak Herostratosa i przyjęli go śmiechem i sykaniem.

— Mieszkańcy Efezu — krzyczał Herostratos w tłum — oszukano was, przez wiele i wiele lat oszukiwano i wyzyskiwano niegodnie. Gdzież jest ten piorun, który miał zabić podpalacza?! gdzież jest Moc waszej boskiej Artemis?! — płonie świątynia — płonie ów hebanowy, ohydny, posąg zdobiony srebrem — Efezejczycy... bracia...

Głos jego zginął w wrzasku, który podniósł się z tłumu.

Długie lata nędzy... kochałem was... dla was... aby was wyzwolić... — dolatywały pojedyncze, oderwane zdania Herostratosa.

— Cicho — milcz — zejdź — wołał tłum.

Śniłem wielką i dobrą sławę... wyzwolenie z niewolnictwa duszy — Życie własne rzuciłem na szalę — Zwyciężyłem!! patrzcie przy kim prawda! — ja nędzarz i ci kłamcy owinięci w purpurę — ach! eunuchy myśli!! — przez wieki wodzono was jako bydlęta na pasku waszej głupoty! Ciemni! patrzcie! oto wschodzi Jutrzenka, nowy wstaje Dzień. Nie dajcie się uwodzić!... bądźcie silni... wolni...

— Precz — zawył tłum.

Niewolnicy! jam to spalił świątynię — zawołał Herostratos głosem wielkim.

— Świętokradzca — ryczał tłum.

— Jam to spalił świątynię — powtarzał upajając się własnym głosem Herostratos.

Uwierzono mu tem chętniej, że szaty miał opalone, osmalone ręce i twarz, i że podrażniony tłum łaknął krwi, ofiary — tysiące rąk wyciągnęło się ku niemu i ściągnęło go na ziemię; poniewierano go, bito, kopano, pluto mu w twarz; co litościwsi mieli go za waryata. Wpół-żywego oddano wreszcie sędziom.

Wyzionął ducha na torturach.

Wkrótce potem Efezejczycy z pomocą pobożnych miast Małej Azyi i wysp Jońskich, wedle planów słynnego architekty Deinokratesa, odbudowali świątynię i uczynili ją większą, wspanialszą i piękniejszą niż była kiedykolwiek.

Pamięć zaś Herostratosa objęła noc i pogarda i przez wieki, żaden dobrze myślący helleńczyk nie byłby wymówił głośno jego imienia.

. . . .

Tejże zaś nocy, 21-go lipca 356 roku przed Chrystusem, po drugiej stronie morza Egejskiego, w górzystym kraju Macedonii, Olimpia małżonka Filipa II-go powiła syna, któremu dano imię Aleksander.

Młodzianek wzrastał w Siły, Mądrość i Dumę, w siedemnastym zaś roku życia rozstrzygnął losy bitwy pod Chaironeją.

On to, trzynaście lat zaledwie mając, odrzekł nauczycielowi swemu Aristotelesowi, gdy tenże wykładał mu naukę i dobrodziejstwa Cnót, że: „świat należy nie do szlachetnych, lecz do silnych — i że najlepszym pasterzem wszelakiej trzody jest ten, który ma najdłuższy bat i najsprawniej umie nim władać“.

Słowa swe wprowadził w Czyn, historya zaś ochrzciła go „Wielkim“, albowiem podbił Świat.

APOSTOŁ PRAWDY

P. Władysławowi Prokeschowi.

Działo się to w pewnem, małem miasteczku — i jakkolwiek działo się to przed tysiącami lat, sądzę, iż ta mała historyjka przepisana z prastarego, w turyńskiem muzeum przechowywanego papyrusu, jest po wszystkie czasy aktualną i wspólną wszystkim narodom tej ziemi i dlatego też ośmielam się ją tu powtórzyć.

Jak się więc rzekło powyżej rzecz działa się w dolnym Egipcie, u schyłku panowania króla Amenemhata I z dwunastej dynastyi. Faraon ten, znużony długoletniem panowaniem, syt zwycięstw i sławy, złamany wiekiem i chorobą, oddawszy rządy nad krajem synowi swemu Uzertezenowi I, usunął się w zacisze małego miasteczka, położonego w delcie Nilu, a słynnego z gajów palmowych i hodowli anemonów, aby tu w ciszy i spokoju dokonać żywota. Otoczony kapłanami, wróżbitami i co najprzedniejszymi lekarzami Egiptu, żył Amenemhat I w Sechem, pielęgnując w sobie tysiące chorób tak prawdziwych, jak i urojonych i wspomnienia, które nie zawsze bywały słodkie.

Albowiem nie pierwszy to już Salomon odkrył: „że wszystko jest marność“ — i wielkim tego świata danem jest to odczuć u schyłku żywota równie gorzko, jak i najnędzniejszym tej ziemi. I oto jednego dnia rzekł wiecznie milczący Amenemhat I do Heru, kapłana, który go nie opuszczał dniem i nocą.

— Zdaje mi się o Heru, że zaniedbałem uczynić jedną rzecz ważną w mem życiu.

— Ty rzekłeś o panie świata — westchnął pokornie dostojnik.

— Podbiłem ludy nubijskie i rzuciłem nieprzyjacioły pod stopy moje, przezemnie Egipt władnie światem — mówił Amenemhat zwracając swe sępie oczy ku towarzyszowi — zgniotłem Memphis i urojenia książąt i możnowładców, złączyłem dolny i górny Egipt w jedno państwo i ustaliłem panowanie mej dynastyi, aby trwała i władała po koniec świata. Napisałem księgę mądrości, na której ojcowie uczyć będą synów swoich życia pięknego i silnego; zbudowałem w Tebach świątynię wielkiemu Amonowi i dobroczynnej, płodnej Izydzie, nie zapominałem i o bogach niższego rzędu i bogate składałem im ofiary, kłaniałem się nawet srogiej Nebt-ha, bogini piekieł; zabaczyłem jeno o dobrym Ptah, bogu prawdy, i to mnie dziś dręczy...

— Panie — rzekł cicho i słodko Heru — cokolwiekbądź czyniłeś, czyniłeś dobrze, albowiem bogowie nie mogą się mylić, a tyś jest bogiem! o władco świata!

— Tak; cokolwiekbądź czyniłem, czyniłem w kłamstwie, o Heru, i przez kłamstwo największe

odnosiłem zwycięstwa — dokończył Amenemhat I, uśmiechając się gorzko — i oto boję się dziś, aby tam, dokąd mam iść, nie zastąpił mi drogi dobry Ptah i aby na wadze sprawiedliwości nie położył swej ręki, ciężkiej od gróźb i wyrzutów.

— Któżby śmiał sądzić Cię, o panie — zawołał Heru — czyż sam nie jesteś bogiem! — widząc jednak, że twarz starca nie rozchmurza się, dodał zaraz tonem skwapliwej, dobrej rady — wybudujmy więc tu w Sechem świątynię dobremu bogu Ptah i poświęćmy mu te ciche gaje palmowe i pola kwitnących anemonów, aby go zjednać i przebłagać.

— To nie starczy Heru — rzekł ponuro Amenemhat I — trzeba nam odtąd żyć prawdą.

Heru uśmiechnął się dziwnie i począł mówić o świątyni, która miała stanąć tuż obok pałacu Faraona, i zręcznie podsunął królewskiemu starcowi myśl, aby wielebnego, przezacnego Hoi-to, synowca Heru uczynił arcykapłanem w świątyni dobrego Ptah.

. . . .

Twórczą i możną jest wola panów ziemi — spędzono tysiące niewolników, wyłamano ze skał olbrzymie złomy granitu, przez długie i długie miesiące bolesny jęk biczem w trud krwawy pędzonych robotników rozlegał się w cichej dolinie Sechem, aż zarysowały się gigantyczne podstawy świątyni, strzeliły w las kolumny, sparły się na nich ciężkie, kamienne belkowania, a pośrodku zawisła powała „celli“ miejsca świętego świętych, migocąca od barwnych fresków, lśniąca od złoceń. Wtedy rzeźbiarz, któremu powie-

rzono wykucie w czerwonym granicie posągu dobrego boga Ptah, oddał go z swej pracowni w ręce kapłanów, a ci, uwieńczywszy posąg kwiatami, w dymie kadzideł, wśród uroczystej procesyi wnieśli go do świątyni i ustawili w celli. Za bożkiem, który uśmiechał się ludowi martwą, kamienną twarzą, zapadła w srebrne kwiaty lotosu tkana zasłona, zawarło się miejsce święte przed oczyma śmiertelnych. Faraon zaś, z dachu swej willi przypatrując się uroczystości, modlił się w duchu:

„Ażebyś mi przebaczył kłamstwa mojej młodości, przez które zdobyłem szczęście i rozkosz, postawiłem Ci świątynię tak wielką, jak wielką jest świątynia Amona, stwórcy wszech rzeczy...

Ażebyś mi przebaczył kłamstwa mych lat dojrzałych, przez które zdobyłem potęgę i władzę nad światem, oddałem Ci, o dobry Ptah! większą część mych skarbów i powołałem do Twej służby trzystu kapłanów, aby wieńczyli nogi Twe kwieciem i wielbili Cię w mowie wiązanej...

Ażebyś nie stanął gniewny na drodze mej w krainie cieni, rozkażę poddanym moim żyć w prawdzie i sam w niej żyć będę aż po koniec dni moich...“

I rzeczywiście Amenemhat przez usta kapłanów rozkazał poddanym swym żyć w prawdzie, lecz tak lud, jak i kapłani kłamali po dawnemu, a może i sam Faraon okłamywał samego siebie, chcąc wierzyć w to, że jedno jego słowo zmieniło z gruntu naturę ludzką.

. . . .
. . . .

I płynęły tak lata... Kapłani przy świątyni Ptah tyli, Amenemhat I chudł coraz bardziej, ponieważ coraz silniej dokuczał mu katar żołądka, reumatyzm i starość, lud w pocie czoła pracował na roli i składał kornie ofiary w świątyniach i urzędach podatkowych, grzbiety niewolników spływały krwią, a dobry bożek Ptah z poza zasłony, tkanej w srebrne kwiaty lotosu, uśmiechał się światu kamienną, martwą twarzą.

Aż raz w cichem, szczęśliwem Sechem stała się rzecz niesłychana... Do nóg Faraona, gdy wracał ze świątyni, rzucił się jakiś człowiek zbiedzony, nagi i łkając przywarł głową do jego stóp. Amenemhat I kazał mu wstać, spytał, kto zacz i czego żąda.

Wtedy rzekł ów człowiek:

— Panie zwę się Zoi-mos, rodem zaś jestem z Zoân, gdzie rodzic mój był bogatym i znanym kupcem. Od dziecka umiłowałem prawdę i oto ojciec mnie wydziedziczył, a kobieta, którą pojąłem za żonę, wyśmiała i opuściła. Nawet własne dzieci uciekały przedemną z lękiem, albowiem nauczono je wierzyć w to, że jestem szaleńcem. Wkrótce nie mogłem znaleść w Zoân pracy i przez rok blisko żywiłem się odpadkami kuchennymi, wyrzucanymi psom, — tułałem się z kąta w kąt, nie mając dachu nad głową... Znajomi odwracali się odemnie, ulicznicy zaś i różna gawiedź miejska, urągając, rzucała za mną kamieniami... Wreszcie musiałem opuścić Zoân; przeszedłem wszerz i wzdłuż Egipt i próbowałem wszelkich zawodów, ale zewsząd wyrzucano mnie sromotnie, jakkolwiek nie było na mnie innej winy, prócz tej, że zawsze i wszę-

dzie mówiłem prawdę. Aż doszła mnie wieść o Tobie, o Panie! — i o żebranym chlebie idę aż z Edfu, aby położyć się u nóg Twoich...

— Jeżeli ten człowiek mówi prawdę — rzekł Amenemhat I, zwracając się do otaczających go kapłanów — biada wam i mnie.

— Ten człowiek jest waryatem o Panie, dość spojrzeć na niego, ażeby się przekonać, że jest szaleńcem — odpowiedział wielebny Hoi-to, arcykapłan z świątyni Ptah.

— Ten człowiek jest szaleńcem — powtórzyli za nim kapłani.

— Być może — rzekł zimno Faraon — a jednak człowiek ten pójdzie za mną. — I kazał sługom swoim wziąć go między siebie, omyć i odziać, przystrzydz w klin jego brodę rozrosłą i zgolić czuprynę podobną strzesze słomianej, ażeby mógł godnie zasiąść u królewskiego stołu.

Biedny jednak syn Zoân, któremu raz w życiu niespodzianie uśmiechnął się los, nie umiał go należycie wykorzystać i dalej, pytany czy nie pytany, zawsze, wszędzie i każdemu mówił prawdę. Położenie jego na dworze królewskim stawało się coraz cięższe, a w cztery dni obrzydł już wszystkim doszczętnie. Kapłani zaś dobrego boga Ptah, cicho, słodko i umiejętnie podkopywali z dnia na dzień jego stanowisko przy boku królewskim, aż wreszcie wytrwały i mądry Heru potrafił przekonać Faraona, że ów biedak jest naprawdę szaleńcem. Łatwo w to było uwierzyć, ponieważ wygłaszał on rzeczywiście rzeczy szalone.

Faraon tedy obdarzył go kieską złota i oddalił, co mu przyszło tem łatwiej, że syn Zoân parę razy dotknął osobiście dumnego starca.

Gdy zaś ów wyznawca prawdy znalazł się poza bramami królewskiego domu, kapłani nie zapomnieli o nim i bacznem śledzili go okiem. Nie wydawał im się jeszcze dość bezpiecznym, tem więcej, że Amenemhat I coraz bardziej dziwaczał pod starość i często miewał nagłe, zgoła nieoczekiwane pomysły.

Na domiar złego, były mieszkaniec Zoân wałęsał się ciągle u wrót królewskiego pałacu lub u drzwi świątyni i przed zebranym ludem rozwijał swoje teorye i obwieszczał swe spostrzeżenia. Mądry i doświadczony Heru radził, aby go zręcznie i cicho usunąć — ale tymczasem nadarzyła się inna, o wiele lepsza sposobność pozbycia się nieszczęsnego miłośnika prawdy. Jakaś stara kobieta, którą posądził o kradzież kiesy złota, oskarżyła go wzamian o świętokradztwo i jakkolwiek ani dowodów, ani świadków nie było — został pochwycony, sądzony i zasądzony na śmierć.

Gdy prowadzono go na plac stracenia, zastąpiła mu drogę tancerka imieniem Nei-ta-fer, która widywała go na dworze faraona, i zdjęta litością, spytała:

— Za cóż idziesz na śmierć o Zoi-mos, wydawałeś mi się zawsze dobrym człowiekiem, aczkolwiek nieco śmiesznym i narwanym.

— Za prawdę idę na śmierć o piękna Nei-tafer! — albowiem ludzie nie dorośli jeszcze do tego,

by módz jej słuchać spokojnie — może za jakie dwa, trzy tysiące lat...

I przeszedł mimo, z twarzą rozjaśnioną nadzieją, że za jakie dwa, trzy tysiące lat...

. . . .

A działo się to przeszło cztery tysiące lat temu, obecnie zaś jesteśmy w XX-ym wieku ery chrześcijańskiej.

SPIS RZECZY.

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE